

# DAJĘ SŁOWO

[www.czasopismodajeslowo.pl](http://www.czasopismodajeslowo.pl)

NR 8 | PAŹDZIERNIK-GRUDZIEŃ 2024

Wiersz:

O kwant  
od szczęścia

Jakub Lubawy

## RECENZJE

**Ona Michała Wójcika**

Karolina Adamska

**Skok do gwiazd**

**Bartosza Brzezińskiego**

Anna Butkowska

Opowiadania:

**IWAN**

Paweł Horyszyn

**Istny kosmos**

Małgorzata Poręba



# **SAMOWYDAWCY.pl**

## **ADRES REDAKCJI**

ul. Sportowa 2/4,  
55-011 Siechnice  
tel. 696 071 318  
redakcja.dajeslowo@gmail.com

## **REDAKTOR NACZELNY**

Mateusz Rogalski

## **ZESPÓŁ**

Janusz Muzyczyszyn

## **ZASTĘPCZYNI**

## **REDAKTORA NACZELNEGO**

Monika Litwinow

## **REDAKCJA I KOREKTA**

Janusz Muzyczyszyn

Jagoda Biszkont  
Ewa Hoffmann-Skibińska  
Alicja Szalska-Radomska  
Anna Michalik-Czarnecka  
Angelika Gręda

## **SKŁAD I ŁAMANIE**

Mateusz Cichosz

## **PROJEKT OKŁADKI**

D.B. Foryś

**Dołącz do Patronów**



**PATRONITE**

**PRENUMERATA [www.czasopismodajeslowo.pl](http://www.czasopismodajeslowo.pl)**

# SPIS SŁÓW

## SŁOWA NUMERU

- 7 **O kwant od szczęścia** – Jakub Lubawy
- 9 **Iwan** – Paweł Horyszyn
- 23 **Recenzja książki *Skok do gwiazd* autorstwa Bartosza Brzezińskiego** – Anna Butkowska
- 71 **ONA Michała Wójcika** – Karolina Adamska
- 88 **Istny kosmos!** – Małgorzata Poręba

## WYSŁOWIONE (OPOWIADANIA)

- 25 **Laura Zasada i polowanie na ducha** – M. A. Rattek
- 74 **Żeglarz gwiazd** – Adam Sołtys
- 91 **Olcha z wilczej doliny cz. 8** – Agata Kasik, powieść we fragmentach
- 112 **Kołdra z gwiazd** – Agnieszka Kusiak

## DOSŁOWNIE (recenzje)

- 121 **Recenzja książki *Szczyńściorz* Pawła Famusa** – Karolina Adamska

## ODMIERZONE SŁOWAMI (FELIETONY PODRÓŻNICZE)

- 124 **Jechać do Lwowa** – Katarzyna Mróz-Jaskuła
- 131 **II Festiwal Książek w Płocku. Literacki hit czy kit?** – Agnieszka Kowalska

## WIERSZE (wiersze/drabble)

- 69 **W przestrzeni ponad światem** – Jakub Lubawy
- 87 **Głos wśród gwiazd** – Anna Wrocławska

## Słownik Autorów (porady dla pisarzy)

- 136 **Promocja pomaga sięgnąć gwiazd i zdobyć czytelników** – Anna Butkowska

# Witajcie, drodzy Czytelnicy!

Koniec. Tak, to już jest koniec.

Wypuszczamy ostatni numer darmowego e-czasopisma Daję Słowo wraz z dodatkiem Daję Słówko. Rok 2024 dobiega końca, a nasz kwartalnik po raz czwarty trafia w Wasze ręce. I nic więcej z nim zrobić nie będziemy mogli. Pozostaje nam jedynie obgryzać paznokcie i wyczekiwać w zniecierpliwieniu na Wasze opinie. Wbrew temu, co mogłoby się wydawać, dla całego naszego sztabu redakcyjnego ta część procesu powstawania czasopisma, jest zawsze najtrudniejsza. Ten moment, w którym wiemy, że musimy wypuścić z rąk to, co stworzyliśmy, pozwolić, by od tej pory żyło własnym życiem. Robiliśmy wszystko, co w naszych mocach i umiejętnościach, abyście otrzymali możliwie najlepsze teksty w wyjątkowej oprawie. Sami oceńcie, na ile nam się to udało. Czekamy na każde słowa pochwały jak i kreatywnej krytyki. Cóż nam innego pozostało, skoro na nic więcej nie mamy już wpływu. Mamy jedynie nadzieję, że czytanie zamieszczonych tu treści sprawi Wam tyle przyjemności, ile nam ich poszukiwanie.

Ponieważ to nasze ostatnie spotkanie w 2024 roku, nie pozostaje nam nic innego, jak w imieniu redakcji oraz wszystkich autorów i osób współtworzących to e-czasopismo, życzyć Wam kosmicznych doznań literackich w nowym roku. Mamy nadzieję, że choć jedna



## KREW DAHAKU

Dostępne na [www.samowydawcy.pl](http://www.samowydawcy.pl)

z naszych publikacji tak głęboko utkwiała w Waszej pamięci, że zabierze ją ze sobą w kolejny rok Waszego życia. A kto wie, może gdzieś w przyszłości Wasza publikacja ujrzy światło dzienne – tego na nowy rok życzymy wszystkim doświadczonym i początkującym pisarzom.

Początek. Tak, to już jest początek.

Wypuściliśmy w gwiazdy e-przestrzeni ostatni numer z roku 2024. Wiedźcie, że nim opadnie złoty pył, my już będziemy pracowali przy biurkach nad następnym. Koło wydawnicze wiecznie się toczy, a cały nasz redakcyjny sztab (Monika Litwinow, Janusz Muzyczyszyn i ja) dwoi się i troi, aby kolejny numer był jeszcze lepszy od poprzedniego. Czy to możliwe? Już wkrótce sami będziecie mieli okazję się o tym przekonać.

Ale wpieryw zapnijcie pasy i sprawdźcie, co tu dla Was przygotowaliśmy, a coś nam mówi, że to będzie prawdziwy literacki lot do gwiazd.



*Bożak*



# NABÓR DO NUMERÓW W 2025 ROKU

Czasopismo „Daję Słowo” potrzebuje Waszych tekstów!

Otwieramy nabór na rok 2025 – tematami przewodnimi będą:

- 👉 Nr 1/25 – „W dziczy”, termin: 30 stycznia
- 👉 Nr 2/25 – „na dzikim zachodzie”, termin: 30 kwietnia
- 👉 Nr 3/25 – „w szkolnym plecaku”, termin: 30 lipiec
- 👉 Nr 4/25 – „pośród śniegów i mrozów”, termin: 30 października

Publikacja tekstów w „Daję Słowo” to doskonała reklama dla początkujących i doświadczonych autorów oraz okazja do nawiązania nowych kontaktów 😊

Czego szukamy?

- ✍ Recenzji utworów o danej tematyce – tekstów do 6000 zzs,
- ✍ Felietonów – do 4000 zzs,
- ✍ Drabli – 100 słów,
- ✍ Relacji z targów i wydarzeń okołoliterackich – do 4000 zzs,
- ✍ Poezji – bez limitów,
- ✍ Opowiadań – do 20 000 zzs,
- ✍ Wywiadów – do 13 000 zzs oraz nagranie z transkrypcją,
- ✍ Komiksów – forma dowolna, do 3 stron,
- ✍ bajek, bajeczek, wierszy i innych form dla dzieci 😊

Dla ułatwienia pracy redaktora i składacza prosimy o formatowanie tekstów: czcionka Calibri, wielkość liter: 12, przerwy w tekście oddzielamy trzema gwiazdkami, nie robimy wcięć w tekście tabulatorem, dialogi zapisujemy od półpauzy (CTRL i – z klawiatury numerycznej), zdań nie dzielimy w połowie ENTERem, wielokropki zapisujemy jednym znakiem (prawy ALT i kropka).

Pod tekstem prosimy o bio autora do 200 zzs i zdjęcie w dobrej rozdzielczości. Teksty nie powinny być wcześniej nigdzie publikowane i powinny nawiązywać do tematu przewodniego danego numeru.

Gotowe pliki opisujemy: „Nazwisko\_imię(autora)\_tytuł\_tekstu”, np. „Rogalski\_Mateusz\_Zamki\_i\_Roboty”.

Zdjęcia wysyłamy w pliku tekstowym i jako osobny plik jpg z podpisem „Nazwisko\_Imię”, np. „Rogalski\_Mateusz”.

Teksty prosimy wysłać na adres mailowy redakcji:  
[redakcja.dajeslowo@gmail.com](mailto:redakcja.dajeslowo@gmail.com).

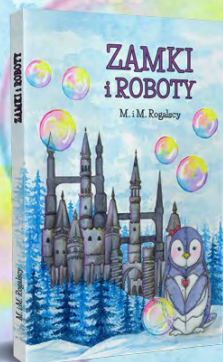
**Zapraszamy do współpracy!**



# O kwant od szczęścia

Jakub Lubawy

O kwant od szczęścia,  
 A to wciąż jest tak wiele  
 Ta przestrzeń jest nie do pojęcia  
 Nie umiem doznać oświecenia  
 Pomimo obecności ludzi  
 Widmo nade mną wisiło osamotnienia,  
 A teraz wiszę tutaj sam  
 Astronauta bez przeznaczenia  
 I martwa dusza w kombinezon zakłętą  
 Nie mam przyszłości  
 Przeszłość też już się rozplynęła  
 Czymże jestem?  
 Człowiekiem?  
 Uosobieniem całego nieszczęścia?  
 Czy pochłonie mnie Wszechświat?



## ZAMKI i ROBOTY

M. i M. Rogalscy

Bajka wymyślona przez sześciolatka  
niehamującego swojej wyobraźni



Mym domem stała się ta bezkresna ciemnia  
Zostałem tu na zawsze  
Nadeszła upragniona chwila wytchnienia  
Niech tak śmierć wygląda  
Niech będzie bez przeszłości cieni  
Tylko Ja i niezliczone gwiazdy  
Tak tkwimy w tej bezkresnej przestrzeni  
My, w kosmosie uwięzieni  
Tylko Wszechświat podziwiać mi zostało,  
Więc wiszę w tej czerni,  
Nieskończenie wiele lat mi tu zostać przypadło  
Nadszedł wieczny czas ukojenia  
Płynę  
O kwant od szczęścia...



**Jakub Lubawy** – Początkujący poeta, radiowiec w poznańskiej rozgłośni uniwersyteckiej Radio Meteor oraz student dziennikarstwa na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza.



# IWAN

Paweł Horyszyn

Sojuz-23 pomimo tego, że sprawiał wrażenie majestatyczności ze swoim opasłym jak u trutnia odwłokiem i panelami słonecznymi rozpostartymi jak skrzydła anioła, to jednak w ciasnej kapsule obaj astronauta czuli się jak śledzie azowskie wciśnięte w puszkę z przetwórnicy w Sewastopolu.

– Wszystko w porządku? – spytał Walerij.

– Pytacie o moje samopoczucie, czy o czytniki? – odparł Wiaczesław.

– Jestem starszy wiekiem i stopniem, więc odpowiem, że o jedno i drugie.

– Nigdy nie lubiłem waszego poczucia humoru, towarzyszu.

Wzajemny lekki śmiech dodatkowo stłamszony kablami słuchawek, które ich łączyły zadawał się jednak dudnić donośnie w kapsule jak echo w dagestańskim kanionie w dolinie rzeki Sulak.

Wiaczesław wyciągnął głowę i wyjrzał za okno. Jego wzrok powoli skanował ciemną przestrzeń dzielącą Ziemię od stacji Salut-5, do której zmierzali.

– Czytałem i słyszałem opowieści o tym, ale samo doświadczenie nie jest w stanie oddać tego, czego teraz jesteśmy świadkami.

– Macie na myśli: świadkami historii? Tak, jesteśmy świadkami kolejnego podboju kosmosu w imię chwały Związku Radzieckiego.

– Tylko o to wam chodzi, towarzyszu? – Wiaczesław odwrócił się i rzucił mu lekko lekceważące spojrzenie. – O wyższość Związku Radzieckiego? A gdzie wiara w ludzkość? Naszą naturalną chęć poznania i odkrywania?

– Towarzyszu... – Jego odpowiedź brzmiała niemal jak szydercze parsknięcie. – Macie dopiero trzydzieści cztery lata więc, za przeproszeniem, gównu wiecie jeszcze o życiu.

– Jesteście tylko trzy lata starsi ode mnie, towarzyszu Roźdiestwienski, więc na waszym miejscu bym się nie wywyższał... – Czuł, jakby się lekko zakrztusił. – ...Aż tak bardzo.

Śmiech Walerija Roźdiestwienskiego znów rozniósł się po kabinie.

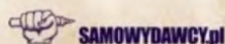
– Lubię was, towarzyszu. Jesteście głodni. Żądni sukcesu ku chwale naszej ojczyzny...

Prabucki Litwinow



wydaje mi się

PODCAST  
WIDEO Z PODCASTU



DOSTĘPNE DLA PATRONÓW  
DAJĘ SŁOWO

Samowydawcy i beta-czytelnicy

Wydaje Mi Się



– ...myślałem, że ku chwale socjalizmu i komunizmu...

Dokładnie! – Zudow niemal ryknął do niego w tym swoistym pomieszaniu wściekłości i niepowagi. – No i imię postanowień dwudziestego piątego zjazdu KPZPR.

– Oficjalnych czy tajnych?

Walerij poczuł dziwne przygnębienie po tym, jak wyniośle zdradził się ze swoimi prawdziwymi przemyśleniami.

– Pamiętajcie, że Salut-5 to jednostka wojskowa – odparł Roźdiestwienski. – Mamy tylko zamontować te kamery o wysokiej rozdzielczości i zawijamy się do domu. Nie filozofujcie za bardzo, towarzyszu. Mamy zadanie do wykonania. Nic więcej. Na dobrą sprawę jesteśmy nikim więcej jak szpiegami, pracujemy dla programu wojskowego Ałmaz, który da nam w kosmosie przewagę nad Amerykanami.

Zubow nic nie odpowiedział, tylko się zamyślił, wpatrując się w wieczną noc za oknem.

Nagły przenikliwy pisk urządzeń na panelu sterującym i pulsująca czerwień kontrolki postawiły ich obu w stan gotowości.

– Co się dzieje? – ryknął Roźdiestwienski.

– Nie wiem.

Zubow nerwowo rozglądał się po panelu, nie będąc w stanie namierzyć problemu. Coś go tknęło i ponownie wyjrzał przez okno.

– Jak to możliwe?

– Co jak jest możliwe? – Walerij wyraźnie podniósł głos.

– Spójrzcie sami. Jesteśmy nie po tej stronie Sojuza. Nie po tej, do której mamy dokować!

– Co wy wygadujecie? Jak to nie od tej strony? Jak to się w ogóle mogło do tego dojść? Dlaczego nas nie powiadomiono? Bajkonur nie mógł tego nie zauważyć?

Zubow ponownie przejrzał kontrolki na panelu.

– Coś nas zepchnęło z kursu?

Roźdiestwienski nie mógł ukryć oburzenia.

– Jak to „coś” nas zepchnęło z kursu? Przecież to niemożliwe! Bajkonur by skorygował trajektorię lotu. Łączność działa?

- Oczywiście, że tak.
- Więc jak to się stało?
- Spójrzcie sami.

Walerij przeanalizował to co przed chwilę Zubow i również wyjrzał za okno.

– Rzeczywiście... – Czuł, jak podnosi mu się tętno.  
– Moment. To nie mogliśmy być my. To nie nasz błąd. My jesteśmy na dobrej trajektorii – włączył się Wiaczesław – To wygląda, jakby... coś odwróciło Saluta.

– Jak to...? – Roźdiestwienski znowu się wściekł. – Jak to: „coś” odwróciło Saluta?

– No sam się przecież nie odwrócił!  
– Nie zmienia to faktu, że jesteśmy pięćset metrów od Saluta i zaraz się rozbijemy o jego złą stronę! – polecił. – Mamy limitowaną ilość paliwa. Nie jesteśmy w stanie go okrążyć i zadokować. Jeśli to zrobimy to nie wrócimy do domu.

- Przerwać misję! – krzyknął Walerij – Powtarzam: przerwać misję!
- Przyjąłem!
- Bajkonur! Wzywam Bajkonur!

Roźdiestwienski nie miał wyjścia i musiał skontaktować się z kontrolą lotów. Kiedy zaczął wyjaśniać sytuację, Zudow nagle złapał go za ramię i mocno ścisnął.

– Ktoś tam jest...

Walerij przerwał komunikację z Bajkonurem.

– Jak to ktoś tam jest?! Salut jest bezzałogowy. Macie omamy towarzyszu?

– Spójrzcie sami! – Wiaczesław zacisnął palce jeszcze bardziej i drugą ręką wskazał w stronę okna.

Walerij poczuł, jak szczęki otwierają się w niedowierzaniu, a gardło ściska ze strachu.

W ich stronę leciało „coś”. Im bardziej się zbliżało, obaj kosmonauci zdali sobie sprawę, że to nie „coś”, lecz „ktoś”. Jasnopomarańczowy kostium i biały hełm niemal pulsowały kolorami na tle czerni kosmosu.

– Kto to jest? – Zubow przerwał milczenie w kabinie.

– Mam wrażenie, że zaraz się dowiemy...

Postać dryfowała ku Sojuzowi powoli i bezwiednie.

– Nie rusza się. Może nie żyje...

– To skąd się tutaj wziął? – spytał Zubow. – Przecież nie zostawiliśmy nikogo ze swoich w kosmosie. Nasze wszystkie programy kosmiczne były sukcesem. I Wostok, i Sojuz i Woschod.

– Tutaj się mylicie towarzyszu. – Roźdiestwienski lekko się wychylił, aby przyjrzeć się postaci wyraźnie zmierzającej im na spotkanie. – Sojuz-1, Sojuz-11. To tylko niektóre z wypadków. Co do innych nie znam szczegółów, ale nieoficjalnie słyszałem, że była ich cała masa. Nieupublicznionych. Wicie. – Zaczął gestykulować. – Aby propagandowo nie wypadło, że sobie nie radzimy.

– Chcecie powiedzieć, że to jeden z tych, których... zostawiliśmy na pastwę losu?

– Być może. – Walerij wciąż się wychylał i z uwagą przyglądał się przybyszowi, którego sylwetka powolnie nabierała bardziej wyraźnych kształtów. – Leci wprost na nas, a nie dryfuje bezwiednie. Dziwne...

Krzyk Roźdiestwienskiego przeciął głuchość kabiny z siłą świeżo naostrzonego rzeźnickiego noża.

– Co się stało? – Zubow przechylił się w stronę towarzysza i ujął jego głowę tak, aby ich spojrzenia się spotkały. – Co się stało, towarzyszu?!

Walerij tylko powolnie wyciągnął drżące ramię przed siebie i wyciągnął palec wskazujący w stronę okna.

Wiaczesław powolnie i z trwogą odwrócił głowę, i skierował wzrok na to, co wskazywał mężczyźna.

Za oknem wyraźnie widział postać, której hełm powolnie zaczął uderzać w szybę Sojuza w powolnym transie.

Zubow zastygł ze strachu i czuł, jak puls zaczyna mu powolnie rozsadzać czaszkę.

Przemógł się i powolnie zbliżył w stronę postaci, zostawiając jednocześnie ciężko dyszącego Roźdiestwienskiego.

– Nie może być...

– Co nie może być?! – wrzasnął Walerij.

– To Iwan Iwanowicz...

– Jak to Iwan Iwanowicz?! – Roźdiestwienski zaczął się lekko rzucać, jak świeżo zakuty w kaftan bezpieczeństwa pacjent szpitala psychiatrycznego. – To przecież tylko manekin!

– Ale to on. – Zubow na chwilę odwrócił wzrok od przybysza. – Sam zobacz.

– Dobrze wiem, kto to jest! Jak myślisz, dlaczego prawie narobiłem w gacie! – Jego głos balansował między piskiem a siłą mającą zachować pozory dowództwa misji. – Tylko dwie kukły Iwana Iwanowicza zostały wysłane w kosmos. Pierwsza, dziewiątego marca tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego pierwszego roku, a druga dwudziestego marca tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego pierwszego. Obie były przetarciem dla lotu Gagarina. Obie wróciły na Ziemię.

– Więc kim jest ten za oknem? – Zubow znów spojrzał w kierunku Walerego.

Roźdiestwienski starał się wyraźnie spowolnić oddech i ułożyć słowa w jakiegokolwiek sensowne zdanie.

– Był jeszcze trzeci Iwan Iwanowicz. Niezarejestrowany...

– Jak to?

Walerij opadł na oparciu fotela, wyraźnie zniechęcony i poddany porażce.

– Drugi Iwanowicz poleciał w kosmos dwudziestego marca tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego pierwszego, a Gagarin dwunastego kwietnia. W międzyczasie, dla upewnienia się, wysłano trzeciego



Iwanowicza. Tak dla potwierdzenia, że wszystko jest jak należy. Jednakże ten test, który miał być najłatwiejszym, okazał się najtrudniejszym i manekin nie powrócił. Nikt nie był w stanie wytłumaczyć, dlaczego tak się stało. Pomimo tego, Gagarina i tak wypchnięto w kosmos, a tajemnicę trzeciego Iwanowicza zamieciono pod dywan.

– I to jest ten trzeci Iwanowicz? Sprzed piętnastu lat?

Zubow spojrzał w stronę manekina i ten nagle zmienił wyraz plastikowej twarzy i uśmiechnął się do niego.

– Ja pierdolę!

Wrzasnął, cofając się w ciasnej kabinie i niemal opadł na przymocowane ciało Roźdiestwienskigo.

– To...żyje!

Iwanowicz uniósł obie dłonie w kierunku własnego hełmu i przyłożył wskazujące palce do pleksy oddzielające jej od skroni.

– *Nie możemy do tego dopuścić. Musicie to zrozumieć i zatrzymać zagładę waszej własnej planety. Tak samo jak zatrzymaliśmy was przed eksploracją pewnych części waszego Księżyca, tak samo zatrzymujemy was teraz przed nuklearną wojną, ku której zmierzacie. Stacja Salut-5 będzie pierwszym narzędziem do rozpoczęcia atomowej wojny z orbity okołoplanetarnej. Narzędziem, nie bronią. Jednakże początkiem. Dlatego odwróciliśmy waszego Saluta. Celowo i niezauważalnie dla waszych radarów. Tylko tyle mogę wam powiedzieć... Towarzysze...*

Roźdiestwienski i Zubow przyglądali się ze zdumieniem na twarz manekina, który uniósł kąciki ust w bardziej niż naturalnym wyrazie.

– Kim jesteście? – Zubow wydusił w końcu z siebie.

– *Tymi, którzy was obserwują. Od dawna. Was jako cywilizację. I zrobimy wszystko, aby was powstrzymać od własnej zagłady.*

– I co teraz?

– *Możemy was nakierować, a nie zrobić wszystko za was.*

Iwanowicz rozejrzał się wokół, jakby wyszukiwał, czy ktoś, aby go nie podsłuchuje w głuszy kosmosu, co Zubow od razu odebrał jako monty-pythonowski humor, którego programy potajemnie oglądał.

– Co teraz mamy zrobić? – spytał Wiaczesław.

– *Macie teraz najcięższą drogę przed sobą. Musicie wrócić na Ziemię. Jako, że robicie to teraz przed czasem, wasza kapsuła nie jest zscynchronizowana z waszym pierwotnym lądowiskiem.*

– Jesteście zaawansowaną cywilizacją! – ryknął Zubow. – Nie możecie nam pomóc?! Na pewno jesteście w stanie zrobić coś więcej!

– *Nie możemy ingerować w rozwój waszej rasy. Musicie poradzić sobie sami. I tak robimy więcej, niż powinniśmy. Staramy się działać jedynie wtedy, kiedy jesteście blisko samodestrukcji. Tak jak teraz.*

Obaj kosmonauci spojrzeli na siebie. Wyczuli w sobie nawzajem strach i niedowierzenie.

– *Już na was czas. Nie macie go za dużo. Kierujcie się na Jezioro Tengyz. Tylko tak przeżyjecie.*

Zubow głęboko westchnął.

– Jest październik. To Kazachstan. Musi tam być przynajmniej minus dziesięć stopni Celsjusza!

– *Minus dwadzieścia dwa dokładnie. I czeka was przeprawa w śnieżycy.*

Rozdiestwienski zaśmiał się pod nosem.

– To samobójstwo.

– *Tak, ale przeżyjecie je.*

– Nie mamy za bardzo wyboru. I tak Bajkonur już wie, że przerwaliliśmy misję – wtrącił Wiaczesław. – To jedynie wyjście, Walerij. – Zdał sobie nagle sprawę, że po raz pierwszy podczas tej misji zwrócił się do swojego kolegi w drugiej osobie.

Mężczyzna nic nie odpowiadał, a jego wzrok krążył po kontrolkach, jakby próbował w nich wyczytać jakąkolwiek odpowiedź.

– Walerij? – Zubow spokojnym głosem próbował wybudzić towarzysza z tego dziwnego letargu, w którym się znalazł.

Roźdiestwienski nerwowo pokiwał głową w wyrażeniu zgody.

Zubow spojrzał na manekina i zadawało mu się, że dojrzał lekki uśmiech na jego gumowej twarzy.

– *Kiedys będziecie gotowi. To jeszcze nie ten czas i niestety nie za waszego życia.*

Wiaczesław uśmiechnął się na myśl, że Iwan odczytał jego intencje, zanim zdążył zadać pytanie.

– Czyli już się nie zobaczymy?

– *Zobaczysz mojego starszego brata. Za dwadzieścia trzy lata w stolicy waszego największego wroga.*

Ich spojrzenia się spotkały.

– W takim razie nie pozostaje nic więcej, niż tylko się pożegnać.

Zubow wyciągnął dłoń, wiedząc, że manekin znajdujący się poza pojazdem w ciemni kosmosu nie będzie w stanie odwdziżyć gestu. Plastikowe oczy Iwana zwróciły się w kierunku palców Wiaczesława. Gumowa głowa lekko się przechyliła jakby w niedowierzaniu i niezrozumieniu wdzięczności, którą Ziemianin próbował wyrazić.

Iwan powolnie wyciągnął ramię z rozpostartą dłonią. Biała rękawica wystająca z pomarańczowego skafandra powolnie wysuwała się w stronę Zubowa i przenikała niczym kończyzna ducha przez metalową powłokę Sojuza. Astronauta miał wrażenie, że wstrzymał oddech, w którym kumulowały się strach, stres i świadomość doświadczania czegoś niepojętego. Rosjanin zebrał się w sobie, aby spróbować zacisnąć palce na niemal przezroczystej i emanującej niemal boskim światłem dłoni manekina.

– Teraz, albo nigdy! – ryknął nagle Roźdiestwienski. – Musimy wykonać manewr. Niełatwy, ale jeśli wykonamy go w ciągu najbliższych dwóch minut... Może nam się udać.

Zubow zupełnie nie zdawał sobie sprawy, że jego towarzysz zajął się przygotowaniami do nakierowania Sojuza na Ziemię i wejścia w atmosferę.

– Czytałem wasz raport, towarzyszu Nikliński. – Pułkownik wszedł do pokoju Polaka bez pukania. – I co ja mam niby z tym zrobić?

– Napisałem wszystko, co Zubow i Roźdiestwienski powiedzieli – odparł oficer. – Chciałem, aby był najbardziej adekwatny do zaistniałych wydarzeń.

Biuro Niklińskiego spowite było ciemnią późnego wieczoru i słabym oświetleniem. Niemal klaustrofobiczne pomieszczenie, którego dolną połowę ściany obkładały hebanowe deski i niemal grafitowa tapeta górną, ożywiane było jedynie przez wątle światło lampki na biurku.

– Sojuz-23 awaryjnie wylądował w jeziorze Tengyz, szesnastego października tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego szóstego roku o godzinie siedemnastej czterdzieści pięć, około ośmiu kilometrów od brzegu – odpowiedział Polak. – Pierwszy śmigłowiec wysłany na poszukiwanie kapsuły nie mógł jej odnaleźć ze względu na warunki atmosferyczne. Padający śnieg, i lód formujący się na powierzchni wody, utrudniały namierzenie miejsca lądowania. Światła helikoptera odbijały się od tafli lodu i to utrudniało zadanie. Spadochron Sojuza zaczął nabierać wody i odwrócił go do góry nogami. Przez to kosmonauci nie mogli otworzyć wjazdu. To znaczy mogliby, ale wybór między utonięciem a uduszeniem to żaden wybór. Uratowały ich małe wywietrzniki, które znajdowały się tuż nad powierzchnią wody, ale nie były wyposażone w jakiegokolwiek pompy, więc powietrze nie cyrkulowało. Śmigłowiec w końcu zlokalizował Sojuza, jednak nie był odpowiednio wyposażony na okoliczność akcji ratowniczej na wodzie. Dodatkowo przy obfitych opadach śniegu. Operatorzy nasłuchu radiowego nawiązali kontakt z kosmonautami i zdali sobie sprawę po głosach, że Zubow i Roźdiestwienski wykazują pierwsze oznaki zatrucia dwutlenkiem węgla. Ich własne oddechy zaczęły ich zabijać. Helikopter zmuszony był zawrócić, a akcję ratunkową

musiano przesunąć na godziny poranne. Co więcej, zasolona woda z jeziora wnikała w niektóre czujniki Sojuza i uaktywniła zapasowy spadochron, który również zaczął nabierać wody. Kiedy śmigłowiec w końcu powrócił, jedyne co można było zrobić, to podczepić pod niego Sojuza i przeciągnąć do brzegu, gdyż helikopter nie był w stanie unieść kapsuły z dwoma wypełnionymi po brzegi wodą spadochronami. Dotarcie do lądu zajęło czterdzieści pięć minut. Kiedy ekipa ratunkowa w końcu dostała się do Sojuza, byli przekonani, że odnajdą tylko zwłoki. Na szczęście się mylili.

– Ile czasu w sumie Zubow i Roźdiestwienski spędzili czasu w kapsule od lądowania?

– Dziesięć godzin.

– Dobry Boże... – Pułkownik podrapał się po pomarszczonym czole i przeciągnął dłonią po resztkach siwiejących włosów. – Bohaterowie.

– Bohaterowie.

– Niemniej, Nikliński... – przełożony znów jakby powrócił do zmysłów. – Co to za brednie o kosmicznym manekinie? Nie mogę czegoś takiego przedstawić komitetowi!

– Spisałem tylko wszystko, co usłyszałem od kosmonautów.

– Halucynacje też?!

– Zbiorową halucynację? – Polak wyprostował i oparł się na krzesło, które głośno skrzypnęło. – Mało prawdopodobne. Prędzej spodziewałbym się jakichś przywidzeń w wyniku reakcji stresowej i niedotlenienia, kiedy dusili się na jeziorze, w końcu brak dopływu tlenu do płatu czołowego mózgu może prowadzić do halucynacji, ale nie kiedy mieli dokować do Saluta. Wówczas wszystkie systemy, włączając te z zapasami tlenu, działały prawidłowo.

– Nie obchodzą mnie wasze dywagacje. – Rosjanin zdawał się nagle sprawiać wrażenie zmęczonego i myślącego tylko o powrocie do domu. – Macie poprawić raport. W dwóch kopiach. Jeden dla komitetu, a drugi dla NASA. W końcu z Amerykanami wymieniamy się teraz informacjami – kontynuował, gestykulując nonszalancko dłońmi. –

Ten pierwszy ma nie zawierać bzdur o tym Iwanowiczu, a drugi ma nie ujawniać żadnych usterek. Jasne? Masz czas do jutra rana.

Nikliński potarł skronie, kiedy pułkownik wyszedł i trzasnął drzwiami. Robota przynajmniej do północy jak nic.

Po wzięciu kilku oddechów Polak poczuł rozluźnienie i sięgnął do szuflady biurka po jedyną rzecz, którą znaleziono wewnątrz Sojuza. Wyciągnął plastikowy woreczek na dowody i powolnie wyjął jego zawartość. Przyglądał się kawałkowi gumowej dłoni w białej rękawicy. Zupełnie jakby ktoś przeciął ją laserem.

– Jakby ktoś podał rękę i nie zdążył jej cofnąć, zanim Roździewski wykonał nagły manewr nawracania.

\*\*\*

Lipcowe słońce nie ułatwiało dnia pięćdziesięciosześcioletniemu mężczyźnie. Przystanął przy wielkiej srebrnej igle, która okazała się być pomnikiem nazwanym Ad Astra. Przyglądał się ostatnim schodom, które miał pokonać w drodze do National Air and Space Museum, będącego częścią Instytutu Smithsona i zadrżał. Dokładnie tak samo, jak rok temu, kiedy dowiedział się, że biznesman Ross Perot wypożyczył swój zakup z domu aukcyjnego Sotheby's waszyngtońskiemu muzeum w dzierżawę na dwadzieścia lat. Znaczyło to, że „eksponat” jest dostępny do zobaczenia dla wszystkich. Również dla niego.

Zimna wojna, widmo nuklearnego holokaustu, wyścig kosmiczny... Wszystko to poszło w zapomnienie.

– Wszystkie te potyczki przegraliśmy, pomyślał Zubow, ale starał się tym za bardzo nie przejmować. Ma w swoim dorobku przynajmniej sześć najwyższej rangi medali, włączając ten najważniejszy, Medal Bohatera Związku Radzieckiego. Jednak Związku Radzieckiego już nie ma, więc ten kawałek połyskującej zakurzoną dumą blaszki w kształcie gwiazdki, dyndający na czerwonej szmatce nie miał dziś jakiegokolwiek wartości.



– To jednak nie jest ważne.

Znajdował się teraz w Waszyngtonie. Nigdy w życiu by nie pomyślał, że kiedyś się tutaj znajdzie, a jednak życie potrafi płatać figle. Cóż, może nie tyle życie, co wszechświat. I nie figle, tylko niespodzianki.

– Miło mi powitać tak zacnego gościa!

Kustosz muzeum podszedł do niego z wyciągniętą dłonią. Niski, tysięcący mężczyzna, niewiele młodszy od Zubowa wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Kiedy otrzymaliśmy rezerwację z ambasady Federacji Rosyjskiej i zobaczyliśmy pańskie nazwisko, nie mogliśmy nie zareagować. Każdy kosmonauta, z jednej czy drugiej strony dawnej żelaznej kurtyny jest dla nas bohaterem. Dlatego jestem do pańskiej dyspozycji i z będę zaszczycony, mogąc być pańskim osobistym przewodnikiem.

Wiaczesław odwzajemnił uścisk dłoni.

– Słyszałem wiele o tym miejscu i cieszę się, że mogę tutaj być.

– Co chciałby Pan wpieryw zobaczyć? Samolot Flyer I braci Wright? Niemiecką raketę V2? Kapsuły Friendship 7 i Gemini IV? Mamy nawet oryginalny model USS Enterprise używany podczas kręcenia serialu „Star Trek”.

– Niepodważalnie zacy macie tutaj zbiór, jednak interesuje mnie najbardziej jeden eksponat i chciałbym go wpieryw zobaczyć. Pojawił się u was rok temu.

– Chyba wiem, o co panu chodzi. – Amerykanin uśmiechnął się, czując, że odgadł myśli swojego gościa.

Przeszli do sali poświęconej wyścigowi kosmicznemu. Z każdym kolejnym krokiem Zubow czuł, że serce bije mu jeszcze mocniej, a które miał wrażenie, że eksploduje, kiedy zobaczył to, po co tu przybył.

Był tam. Wisiał za oszkloną szybą na czarnym tle imitującym kosmos. Rosjanin podszedł bliżej i przeczytał opis. „Ivan Ivanovich. Test Flight Mannequin”.

– Nic się nie zmieniłeś – powiedział do siebie w myślach. Zubow przyglądał się temu samemu pomarańczowemu skafandrowi, czarnym butom i białym rękawicom, które widział po raz pierwszy tak wiele lat temu. Gumowa twarz Iwana pozostawała nieruchoma, lecz kosmonauta bał się przez chwilę spojrzeć w jego kauczukowe oczy. Kiedy w końcu się przemógł i skierował na nie wzrok powiedział:

– Dobrze cię znów widzieć.



**Paweł Horyszny** – Absolwent Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Gdańskiego oraz szkockiego Napier University. Z urodzenia gdynianin, z wyboru edynburczyk. Introwertyk-obszernik, który nie odeszł się, dopóki nie uzna, że ma coś ważnego do powiedzenia. Wegetarianin, ateista, miłośnik science fiction, maniak rocka progresywnego i (nie)poprawny realista-romantyk. Swoją przygodę z pisaniem rozpoczął od przygotowywania recenzji dla portalu ArtRock.pl.

W zeszłym roku zadebiutował powieścią *Templarantis*.

W wolnych chwilach jest również gospodarzem muzycznej audycji „Paweł pod księżycami” w Radiu Islanders.

# Recenzja książki *Skok do gwiazd* autorstwa Bartosza Brzezińskiego

Anna Butkowska

Co znaczy „sięgać gwiazd”? Spełniać marzenia? Być w czymś najlepszym? A może odnaleźć prawdziwego siebie?

W sportowej powieści Bartosza Brzezińskiego znajdziemy odpowiedź na to pytanie. Bohaterowie *Skoku do gwiazd* pokazują bowiem, jak wiele znaczy dla nich hobby, jak to jest spełniać marzenia i odnajdywać spokój. Jak można się jednak domyślić, by odnaleźć spokój, musiało się zadziać coś, co zakłóciło harmonię w ich życiu.

Tak właśnie było. Kamil – główny bohater powieści – po pobiciu ucieka z domu. Jedzie do wujostwa do Warszawy, by się u nich schronić i zacząć nowe życie: bez stresu, bez przemocy, bez siatkówki. Idzie do nowej szkoły, poznaje nowych ludzi, sam też chce być kimś nowym. A co, jeśli jednak miłość do sportu wciąż daje o sobie znać, bo to właśnie dzięki siatkówce życie Kamila może stać się pełne? Co, jeśli Kamil nadal jest tym samym Kamilem, a coś, co próbował ukryć, przybiera tylko na sile?

Wszystkie te wątpliwości zostają rozwiązane wraz z rozwojem fabuły, która

nie skupia się jedynie na Kamilu i jego szkolnym życiu w Warszawie. Oferuje nam bowiem dużo więcej. Przede wszystkim mnogość postaci drugoplanowych, z których każda ma własne cechy, uczucia i historię. Wszyscy bohaterowie są na swój sposób wyjątkowi i realistyczni. Mają swoje problemy i wady, posiadają także dużo wartościowych cech, pokazując przy tym, że odmienność nie jest złą.

Różnorodność charakterów, ról społecznych czy orientacji seksualnych nie jest problemem w środowisku, do którego trafił Kamil. Mogę się nawet pokusić o stwierdzenie, że jest to atut, ponieważ kreacja tak odmiennych postaci urzeczywistnia świat powieści stworzonej przez Bartosza Brzezińskiego.

Piękne jest również to, w jaki sposób zostały ukazane relacje między członkami drużyny z nowej szkoły Kamila oraz drużyn konkurujących. Rywalizacja na boisku nie zawsze idzie w parze z konkurowaniem i wrogością poza nim. Niektóre przyjaźnie czy zauroczenia potrafią przewyciężyć

napięte stosunki podczas rozgrywek sportowych. Dobrym przykładem jest chociażby rozwijająca się relacja Mauricio oraz Kamila – od przekomarzania i rywalizacji do zrozumienia, troski i miłości.

W drugim, poprawionym wydaniu autor skupił większą uwagę na rozgrywkach siatkarskich, co zdecydowanie nie umniejsza opowieści – a wręcz przeciwnie – urozmaica ją i dodaje dynamiki. Opisy meczów siatkówki stały się obszerniejsze i jeszcze bardziej widowiskowe.

Nie będę zdradzać zbyt wiele, bo wiem, jak ekscytujące jest samodzielne poznawanie każdej potyczki sportowej. Chcę jednak zwrócić uwagę na drugi z prezentowanych w książce turniejów – jest on czymś, co uwielbiam w historiach sportowych. Nie dość, że rozgrywki dostarczają wiele emocji, to jeszcze pokazują świetną współpracę i docieranie się charakterów, by osiągnąć wspólny cel i sięgnąć gwiazd.

*Skok do gwiazd* to piękna historia, która nie słodzi, nie omija bólu i trudniejszych tematów, ale jednocześnie daje nadzieję i pokazuje, że może być inaczej, może być lepiej. Tylko trzeba znaleźć się wśród odpowiednich ludzi – tak jak Kamil. Ta wspaniała historia z każdym kolejnym rozdziałem zaskakuje mnie na nowo i wywołuje wiele emocji. A obserwowanie, jak bohaterowie dążą do spełnienia marzeń

i metaforycznego sięgnięcia gwiazd, sprawia wiele satysfakcji.

Książka może się okazać idealna dla osób szukających reprezentacji LGBT+ w literaturze oraz miłośników historii związanych ze sportem. A już teraz drugie wydanie jest dostępne jako druk na życzenie na stronie internetowej Empiku. Co to znaczy? Egzemplarze będą drukowane po ich zamówieniu. Dzięki temu nie marnuje się papieru, a każdy będzie miał szansę zdobyć papierowy egzemplarz (o co było trudno podczas premiery pierwszego wydania).



**Anna Butkowska** – studentka i bibliotekarka na pół etatu. Na Instagramie prowadzi profil *Snow\_lily\_books*, na którym zajmuje się głównie książkami z gatunków fantasy oraz Young Adult. Dumna patronka *Skoku do gwiazd*.

# Laura Zasada i polowanie na ducha

M. A. Rattek

## Fragment 1

I

Grube płatki śniegu przyklejały się do okularów Laury, ograniczając jej widoczność do minimum. Przez cały tydzień nie padało, więc dlaczego musiało zacząć akurat teraz, kiedy miała ostatni egzamin w swojej pierwszej w życiu sesji?

Wkuwała kilka dni, wiedziała, że jest przygotowana. Jednak problemem nie był brak wiedzy. Schody pojawiały się gdzie indziej. Mimo że był to już ostatni egzamin, to jednak jej pierwszy w życiu egzamin ustny. Co za tortura!

Nie będzie dokąd uciec, nie można się odwrócić ani schować. Trzeba rozmawiać z profesorem i do tego jeszcze nie zaciąć się przy odpowiedzi. Ale jeśli się nie uda, trzeba egzamin poprawić i przeżywać to całe piekło raz jeszcze.

Powtarzając w głowie notatki, przyśpieszyła kroku, o mało nie przyplacając tego upadkiem na oblodzonym chodniku. Kiedy wczoraj zobaczyła kilka płatków śniegu błakających się za oknem, nie podejrzewała nawet, że następnego dnia przyjdzie jej przedzierać się przez zaspę. Biały puch pokrył cały Kraków i nie zanosilo się na to, żeby szybko miał odpuścić.

Rozbolało ją gardło i uświadomiła sobie, że wdycha mroźne powietrze przez usta. Przysłoniła twarz szalikiem i jeszcze bardziej przyśpieszyła kroku.

Dotarła na uczelnię kilka minut przed godziną rozpoczęcia egzaminu. Instytut Psychologii na Uniwersytecie Jagiellońskim stał nieczuły na wszelką pogodę. Czy to upalne lato, czy sroga zima, zawsze wzbudzał w Laurze taki sam postrach.

Wbiegła na pierwsze piętro i zdjęła zaparowane okulary.

Lubiła ten moment. Przez krótką chwilę, mogła bezkarnie nic nie widzieć. Nikogo z ludzi wokół nie zdziwiłoby, że Laura nie reaguje na ich przywitania, jeśli na jej nosie nie było okularów. Gdyby oczywiście ktokolwiek zwracał na nią uwagę.

Kiedy para z okularów już nieco opadła, włożyła je ponownie i zaczęła się rozglądać za swoim jedynym kolegą na roku. Nigdzie go jednak nie potrafiła dostrzec.

Przeszła całą długość korytarza, ale po Marku nie było ani śladu. Pozostali studenci z jej grupy zaczęli się przyglądać, wędrującej tam i z powrotem dziewczynie, więc przeszła do najbardziej oddalonego kąta, stanęła twarzą do ściany i wyciągnęła notatki ze swojego wściekle żółtego plecaka.

Marek pewnie zaraz przyjdzie. W końcu ma jeszcze parę minut.

Profesor wyszedł z sali i zaczął wzywać po kolei studentów. Jeden po drugim znikali wewnątrz sali. Jedni wychodzili po kilku minutach, inni nawet pół godziny później. Niektórzy od razu gniewnie kierowali się w stronę schodów, inni wymachiwali z radością indeksem, drażniąc wciąż oczekujących na egzamin kolegów.

Korytarz powoli pustoszał. Marek jednak nadal się nie pojawił.

Wiedziała, że będzie wywołana niemalże ostatnia, w końcu takie są zalety nazwiska zaczynającego się na ostatnią literę alfabetu, ale zaraz za nią powinien być Marek. Może dotrze, kiedy ona będzie здаwać egzamin?

Jaka szkoda, że jeszcze nie przyszedł! Mogliby jeszcze raz powtórzyć materiał. To oczekiwanie jest przerażające.

– Zasada! – rozległ się głos z sali.



Laura aż podskoczyła. Upchnęła pośpiesznie notatki do plecaka i weszła do środka.

II

Egzamin był straszny. Znała odpowiedzi na wszystkie pytania, ale i tak był straszny. Od profesora siedzącego na wprost dzieliła ją tylko długość biurka. Przemawiała więc do swoich kolan, jękając się okrutnie, ale jakimś cudem została oceniona pozytywnie.

Tu elfy robią  
zakupy dla  
**MIKOŁAJA.**



Z kodem rabatowym **ELFY -10%** na wszystkie bajki.

Wyszła z sali na trzęsących się kolanach.

– Zuber! – krzyknął głos za jej plecami, wzywający Marka na egzamin.

Korytarz świecił pustkami. Gdyby nie podłoga ubłocona od mokrych butów studentów, można by pomyśleć, że nigdy tu nikogo nie było. Profesor wywołujący nazwiska rozejrzał się jeszcze raz i wrócił do sali.

Laura wyjęła telefon i napisała wiadomość z pytaniem co się stało. Ikonka na ekranie powiadomiła ją, że wiadomość dostarczono, ale jej nie odczytano. Odczekała parę minut, ale nic się nie zmieniło.

To naprawdę zaczynało być dziwne. W przypiływie odwagi Laura wybrała numer i zadzwoniła. Zwykle, gdy do kogoś dzwoniła, miała nadzieję, że ten ktoś nie odbierze i nie będzie musiała przeżywać katuszy rozmowy. Tym razem jednak wolałaby, żeby Marek w końcu się odezwał.

Niestety telefon nie odpowiadał. Być może zaliczenie egzaminu wywołało w niej przyływ adrenaliny, bo postanowiła pójść do akademika, żeby spytać Marka osobiście co się stało.

W miarę jak zbliżała się do akademika, mijała po drodze coraz więcej studentów. Okruchy odwagi powoli zaczynały ją opuszczać. Stanęła przed wysokim gmachem i spojrzała w górę. Widok idealnie rozmieszczonych okien budynku o wdzięcznej nazwie „Babilon” zawsze jej się podobał. Byłoby idealnie, gdyby tylko w środku nie mieszkało, aż tylu studentów...

Zacisnęła dłonie na rączkach plecaka i weszła do środka. Biegła po schodach, aż zatrzymała się na właściwym piętrze.

Pokój Marka znajdował się bardzo blisko klatki schodowej. Wciąż jeszcze próbując złapać oddech, zapukała do drzwi.

Usłyszała dźwięk zbliżających się kroków, dochodzący ze środka. Już otwierała usta, żeby się przywitać z Markiem, ale w drzwiach pojawił się ktoś inny. Ktoś zupełnie obcy.

– O co chodzi? – zapytał niepewnie chłopak, przyglądając się jej badawczo.

Poprawił długie pasmo włosów spadające mu na twarz.

Laura nie spodziewała się zobaczyć kogoś obcego i nie zdążyła się na to przygotować.

– Ja... czy ja... czy zastałam Marka? – wystękała.

– Nie ma go – rzucił szorstko chłopak.

– A gdzie jest?

– Skąd mam niby wiedzieć? – burknął. – Jestem jego współlokatorem, nie niańką!

Odsunął się jednak od drzwi i wpuścił ją do środka. Nigdy tu nie była. Jeden jedyny raz poszła z Markiem do jego akademika, bo obiecał jej pożyczyć notatki z filozofii, ale nie wchodziła do jego pokoju. Nie chciała się zbyt spoufalać.

Zacisnęła jeszcze mocniej dłonie na szelkach plecaka. Sama nie wiedziała, po co tu przyszła. Spodziewała się, że spotka Marka, uświadomi go, że zapomniał o egzaminie, a potem usłyszy jakieś wyjaśnienia. Scenariusz, w którym otwiera jej obcy facet i w dodatku wpuszcza do środka, nigdy jej nie przyszedł do głowy.

Stała na środku pokoju, rozglądając się niepewnie. Współlokator tyknął na nią spode łba, trzymając się w bezpiecznej odległości. Ciekawe, czy czuł się tak samo niekomfortowo jak ona.

– Chcesz się czegoś napić? – zapytał tonem, sugerującym, żeby lepiej odmówiła.

Pokręciła nerwowo głową. Tego by tylko brakowało, żeby piła napój nieznanego pochodzenia i to jeszcze ze szklanki, której czystości też nie mogła być pewna.

Współlokator przewrócił ostentacyjnie oczami i oparł się o framugę drzwi. Ewidentnie czekał, aż wyjdzie.

– Po co tak właściwie przyszłaś? – zapytał.

Laura nie wiedziała, co odpowiedzieć. No bo po co tak właściwie przyszła? Co ma mu powiedzieć?

Rozejrzała się w panice po pokoju. Gdzieś w oddali rozlegały się syreny policyjne. Jej wzrok przykuł leżący na szafce nocnej notatnik, w jej ulubionym, żółtym kolorze.

– Po to! – zawołała, biorąc do ręki notes. – Chciałam pożyczyć notatki.

Miała ogromną nadzieję, że chłopak nie będzie chciał sprawdzić zawartości zeszytu, bo nie miała bladego pojęcia, co może być w środku.

Na szczęście kiwnął tylko głową i wskazał ręką drzwi. Niestychanie gościnnie.

Schowała notes do pasującego kolorem plecaka i czym prędzej wyszła z akademika, próbując wyrównać oddech. Ręce jej się trzęsły jeszcze dobrych kilka minut. Żeby wrócić do domu, musiała obejść akademik. Wychodząc zza zakrętu, nagle jej oczom ukazał się niecodzienny widok. Co najmniej kilkunastu policjantów chodziło tam i z powrotem po skwerku obok budynku. Rozwijali taśmy policyjne i odsuwali na bok zbierający się tłum gapiów.

W pierwszym odruchu instynkt nakazywał Laurze oddalić się od tego tłumu jak najszybciej, jednak wiedzona jakimś nieznanym sobie uczuciem, podeszła bliżej. Na środku skwerku, w oprószonych śniegiem krzakach, leżał człowiek.



## SERIA KRYMINALNA

*Baśniowe i słowiańskie wątki  
porywają do głuszy  
wielkopolskich lasów*

[www.monikalitwinow.pl](http://www.monikalitwinow.pl)

Ktoś przykrył biedakowi ciało, ale nie zrobił tego zbyt starannie, więc nogi i połowa tułowia pozostały odkryte.

Chcąc zobaczyć coś więcej, Laura przeszła obok policjanta w mundurze, akurat w momencie, kiedy odezwało się jego radio.

*Potwierdzam, ofiara to Marek Zuber, lat 19. Rysopis odpowiada wizerunkowi w dokumentach.*

Laura zatrzymała się gwałtownie. Czy dobrze usłyszała? Serce waliło jej tak głośno, że czuła jego bicie nawet w gardle.

### III

Następne kilka dni Laura przesiedziała w domu. Nie było w tym nic nadzwyczajnego, lubiła siedzieć w domu. Ale tym razem było inaczej.

Nie знаła Marka zbyt dobrze, ale mimo wszystko jego śmierć mocno nią wstrząsnęła. Nidy nie znała nikogo, kto potem umarł. Tym bardziej z jej rówieśników. Ciekawe, co było przyczyną śmierci. Czy umarł z naturalnych powodów, czy ktoś mu pomógł? Jeśli tak, to kto i dlaczego?

Te pytania nie dawały jej spokoju.

Mama jak zawsze zachęcała ją, żeby wyszła gdzieś i spotkała się z przyjaciółmi. Tylko skąd ich wziąć? Marek był najbliższą osobą, którą znała, ale nawet jego nie mogłaby nazwać przyjacielem. Już raczej kolegą z roku.

Żeby zająć czymś myśli, postanowiła przygotować sobie notes na robienie notatek na następny semestr. Uwielbiała uporządkowane notatki z kolorowymi zakładkami. Potrafiła godzinami przygotowywać notes tak, aby we właściwym momencie był gotowy do użycia. Wyjęła więc zawartość swojego plecaka i dopiero wtedy w jej ręce wpadł żółty zeszyt Marka.

Gdy wzięła go do rąk, znów dopadło ją to dziwne uczucie. Nie potrafiła go zidentyfikować. Jakby organizm próbował jej powiedzieć,



że coś jest nie tak. Oczywiście, że coś jest nie tak! Nie żyje człowiek! Ale czy na pewno tylko o to chodziło?

Biorąc głęboki oddech, Laura otworzyła zeszyt i zaczęła czytać zawartość. To, co znalazła w środku, rozminęło się z jakimkolwiek wyobrażeniem, jakie mogła mieć. W pierwszej chwili nie mogła zrozumieć, o czym czyta. Notatki były chaotyczne, wyrwane z kontekstu, dopisywane pomiędzy innymi fragmentami tekstu i na marginesach. Wyglądały trochę jak notatki z fizyki, ale po co studentowi psychologii notatki z fizyki?

Im dalej czytała, tym robiło się jeszcze dziwniej. Na jednej stronie znalazła wklejony artykuł o tym, jak rozpoznać obecność ducha w domu.

Ducha? Jakiego znowu ducha?

Na następnych stronach Marek zapisywał wszelkie znalezione informacje o duchach i innych zjawiskach paranormalnych. Zapisane jego pismem, więc to na pewno on. Laura zamknęła zeszyt i schowała go do plecaka. Zaczęła chodzić tam i z powrotem po pokoju.

Nieemożliwe, żeby Marek wierzył w takie rzeczy. I to do tego stopnia, żeby zbierał dokładne materiały. Może go wcale, aż tak dobrze nie znała? Wiedziała, że uwielbia serial *Supernatural*, ale nie sądziła, że aż tak, żeby przenieść fikcję do rzeczywistości.

Nagle stanęła jak wryta. A może to z tego powodu zginął?

Musi kogoś o to zapytać! Tylko kogo?

Współlokator!

Niewiele myśląc, złapała kurtkę i swój żółty plecak, i pognąła co tchu do wyjścia. Nie zwolniła, nawet kiedy zaskoczona mama spytała, dokąd się wybiera.

W rekordowym tempie dotarła do akademika. Nie zatrzymywała się, żeby się zastanowić, czy się boi. Wdrapała się na odpowiednie piętro i zaczęła walić w drzwi. Parę osób na korytarzu popatrzyło w jej stronę.

Po kilku chwilach drzwi się otworzyły.

– Co znowu? – zapytał współlokator na jej widok.

Laura zamarła. Chyba zgubiła gdzieś po drodze całą swoją nikłą odwagę. Odchrząknęła. Próbowwała przełknąć ślinę, ale zaschło jej w ustach.

– Chcę pogadać o Marku – powiedziała cicho.

– Już gadałem o nim z policją. Daj mi spokój – odburknął chłopak i zatrzasnął jej drzwi przed nosem.

Stała bez ruchu, gapiąc się na zamknięte drzwi. Co ma zrobić dalej?

– Hej – odezwał się głos za jej plecami.

Odwróciła się powoli, zastanawiając się, czy jest szansa, że ten ktoś nie mówi do niej i będzie mogła uniknąć rozmowy z obcą osobą.

W drzwiach pokoju oddalonego o kilka metrów w głąb korytarza stała wysoka dziewczyna w okularach w różowych oprawkach.

– To straszne, co się stało z Markiem – powiedziała dziewczyna.

Czyli jednak mówiła do niej.

– Znałaś go? – zapytała Laura, podchodząc nieśmiało do jej drzwi.

– Jestem Zosia – dziewczyna wyciągnęła do Laury dłoń.

Starając się nie myśleć o tym, ile bakterii może być na powierzchni jej dłoni, Laura uściśnęła wyciągniętą rękę i wymamrotała swoje imię.

Po raz kolejny w ciągu kilku dni została zaproszona gestem do środka. Gdy tylko weszły i usiadły przy niewielkim stoliku, Zosia zaczęła mówić.

– Ale akcja z tym Markiem! Nigdy bym nie pomyślała, że mnie tutaj takie rzeczy spotkają! Normalnie jak w filmie jakimś! Ale oczywiście bardzo mi przykro z powodu śmierci twojego chłopaka...

– Nie... – próbowała wtrącić Laura.

– Słucham?

– Marek nie był moim chłopakiem – wymamrotała Laura.

Skąd taki pomysł?



– Serio? – zdziwiła się Zosia. – Byłam przekonana, że ze sobą chodziecie! W końcu nikt inny tu do niego nie przychodził.

– Tylko się kolegowaliśmy.

Zosia wstała i zaczęła przygotowywać herbatę. Krzątała się tak chaotycznie, że Laura musiała odwrócić wzrok.

– Mimo wszystko strasznie to przykre. Marek był spoko. Trochę dziwny, ale miły.

– Znałaś go? – zdziwiła się Laura.



SAMOWYDAWCY.pl

– Tylko trochę – odpowiedziała Zosia, nalewając wrzątek do kubków.

Niechęć rozlała trochę wody poza naczynia, ale zupełnie to zignorowała. Przyniosła herbatę do stolika, przy którym siedziała Laura.

– Chodziłam kiedyś z tym mrukiem, którego już zdążyłaś poznać – mówiła dalej Zosia.

– Z kim? – dopytała Laura.

Nie mogła się skoncentrować na niczym innym niż na rozlanej na środku szafki kałuży wody.

– Z Arturem, współlokatorem Marka. Kiedy byłam na pierwszym roku, nawet mi się spodobał. No i wiesz, jak to jest... czasami człowiek czuje się samotny, a nasze pokoje są blisko siebie. Jakoś tak wyszło.

Laura starała się słuchać paplaniny dziewczyny, ale przychodziło jej to z coraz większym trudem. Zosia natomiast wzięła jej milczenie za oznakę zainteresowania.

– Na początku było fajnie, wydawał mi się taki tajemniczy... ale potem okazało się, że moje wyobrażenie o nim jest dalekie od rzeczywistości. A kiedy zaczął biegać za tymi swoimi duchami...

– Zaraz, co? – Laura oderwała wzrok od rozlanej wody. – Powiedziałaś *duchami*?

– Tak! – Zosia wybuchnęła śmiechem. – Uwierzysz? Zebrał nawet grupę kolegów! Zaczęli chodzić po różnych nawiedzonych miejscach i polować na duchy.

Laura zdjęła plecak, który wciąż miała na plecach i zaczęła intensywnie szukać zeszytu Marka.

– Najgorsze było to, że prawie nigdy nie miał czasu na randkę ze mną, ale dla tych swoich *Ghostbusters* zawsze znajdował czas. Wiesz, ile nocy spędzili gdzieś w lesie, siedząc w krzakach, i gapiąc się w przestrzeń, w której nigdy niczego nie wypatrzyli? Z milion! Potem sobie wymyślili, że pewnie nie mają odpowiedniego sprzętu i zaczęli wydawać mnóstwo kasy na te swoje zabawki. Ostatnio kupili sobie nawet dyrektyw pola magnetycznego.

– Detektor – powiedziała Laura, czytając notatki Marka.

– Że co?

– Detektor pola magnetycznego – powtórzyła Laura. – Zobacz, Marek wszystko notował.

– Ale numer... – powiedziała Zosia, biorąc zeszyt i go powoli kartkując. – Ty, a skąd ty to masz?

Na twarzy Laury pojawił się rumieniec.

– No... ja... – zaczęła się jąkać.

– Zajumałaś, jak tu ostatnio byłaś? – zapytała Zosia z szelmowskim uśmiechem. – Daj spokój, już wtedy cię widziałam. Może już mi nie zależy na Arturze, ale lubię wiedzieć jakie dziewczyny go odwiedzają – powiedziała mrugając.

Laura nie odpowiedziała. Dzięki Zosi zrozumiała nieco więcej z notatek Marka, ale dalej nie mogła pojąć, jakim cudem nie wiedziała o jego hobby. Może tylko jej się wydawało, że się przyjaźnią? Może powinna bardziej słuchać ludzi?

– Hej, mówię do ciebie! – Zosia szturchnęła Laurę w ramię.

Nieprzyzwyczajona do kontaktu fizycznego z obcymi, Laura aż podskoczyła, wylewając herbatę na podłogę.

– Ojejku, przepraszam...

– Luz, nie przejmuj się – powiedziała Zosia, niewzruszona wielką kałużą herbaty na środku swojego niewielkiego pokoju.

Laura rzuciła się w stronę szafki, na której stała rolka papierowych ręczników i zaczęła wycierać podłogę. Zosia ani drgnęła czytając uważnie zapiski.

– To co mówiłaś? – zapytała Laura, kiedy już skończyła wycierać podłogę.

– Że powinnyśmy to oddać na policję.

Laura zamarła. Ma rozmawiać z policją?

– Ja nie wiem... nie wiem, czy to jest najlepszy pomysł.

– Dlaczego? – zapytała Zosia.

– Bo widzisz... ja niezbyt dobrze sobie radzę w rozmowach z ludźmi.

Zosia przyjrzała jej się uważnie, poprawiając na nosie różowe oprawki.

– Ze mną sobie dobrze radzisz.

– Serio?

Rzeczywiście, przy Zosi jakoś mniej się stresowała. Może to wina rozlanej herbaty, na której się skupiała przez większość czasu. Ode-rwała w ten sposób swoją uwagę od rozmowy.

No właśnie, jeszcze wylana woda!

Nadal trzymając rolkę papieru w ręce, Laura podeszła do szafki i wytarła wodę, którą wcześniej rozlała Zosia. Kiedy tylko skończyła, poczuła jakby wielka irytująca mucha w końcu przestała brzęczeć.

Ukradkiem spojrzała na Zosię. Nie poruszyła się ze swojego miej-sca. W ogóle nie zwracała uwagi na swojego gościa. Może dlatego było z nią trochę łatwiej? Nie gapiła się na nią jak inni.

Laura poprawiła okulary na nosie i usiadła przy stole.

– Naprawdę powinniśmy iść na policję – powtórzyła Zosia.

Trudno było nie przyznać jej racji.

– Wiem... ale co, jeśli będą na mnie krzyczeć, że zabrałam ten zeszyt?

– Mamy większy problem.

– Jaki?

– Ostatni raz widziałam Marka, kiedy wybierał się na tę ich misję łapania duchów.

– No i?

– No i następnego dnia już nie żył.

## Fragment 2

### IV

Pół godziny później siedzieli już w samochodzie Zosi i jechały na najbliższy komisariat. Laura siedziała na miejscu pasażera, zaciskając mocno powieki i tuląc w ramionach swój plecak. Zosia prowadziła bardzo swobodnie. Do tego stopnia, że zupełnie jej nie przeszkadzały znaki nakazujące ustąpić pierwszeństwa.

– Nie przesadzaj, nie jadę aż tak szybko – oburzyła się Zosia na widok Laury, przekrzykując głośną muzykę, wydobywającą się z głośników.

Według Zosi, mężczyzną śpiewającym w radio był Mrozu. Laurze to absolutnie nic nie mówiło, jednak jej koleżanka знаła każde słowo piosenki. Śpiewała na cały głos, kołysząc się przy tym na boki. Laura próbowała skupić całą uwagę na tekście utworu, byle tylko nie myśleć o tym, że zaraz zginą marnie pod kołami jakiegoś tira.

Pomogło. Zastanawiając się, co ma na myśli mężczyzna z radia, śpiewając, że chce z kimś rezonować bądź lewitować całą noc, nawet nie zauważyła, że samochód się zatrzymał.

Dojechały na miejsce w rekordowym czasie. Choć dla Laury największym osiągnięciem było to, że nie zatrzymał ich po drodze żaden patrol.

Weszły do środka i od razu skierowały się do umundurowanego policjanta. Siedział przy biurku ogrodzonym grubą szybą.

– W czym mogę pomóc? – zapytał grzecznie młody policjant, jednak bez cienia uśmiechu.

Zosia spojrzała wyczekująco na Laurę.

– Eeee... – zaczęła Laura. – My...

Tak bardzo skupiła się na strachu podczas jazdy samochodem, że zapomniała się wystraszyć przed rozmową z policjantem. Całkiem się zablokowała, bo sama nie wiedziała, czy to, że strach się

nie pojawił to dobrze, bo może w końcu nabrała trochę odwagi, czy może jeszcze nie obudziła się z tego koszmaru, jakim była jazda samochodem tutaj.

- Przyjechałyśmy złożyć zeznania – rzuciła śmiało Zosia.
- W jakiej sprawie? – zapytał policjant, biorąc do ręki pustą kartkę.
- W sprawie morderstwa! – wykrzyknęła Zosia.

Młody policjant spojrzał na nią wzrokiem, który sam w sobie też mógł popełnić morderstwo. Wziął głęboki oddech i zapytał siląc się na uprzejmy ton:

- Czyjego morderstwa?
- Naszego kolegi z akademika...
- Marka Zubera – szepnęła Laura, jednak na tyle głośno, że policjant ją usłyszał.

Obrzucił je raz jeszcze pełnym dezaprobaty wzrokiem i zaczął intensywnie klepać w klawiaturę. Nie widziały, co ma na monitorze, ale Laura zdążyła już sobie wyobrazić, jak pisze do wszystkich policjantów w Krakowie, że na komendzie są dwie wariatki.

– Śledztwo prowadzi komisarz Ostrowski – powiedział po paru sekundach policjant. – Czwarte piętro, pokój dwieście dwa.

Po tych słowach skierował wzrok na garść dokumentów, które studiował zanim do niego podeszły, i przestał zwracać na nie uwagę.

Laura z Zosią wymieniły spojrzenia. Czy to oznaczało, że mogły pójść na górę?

Nieśmiało zrobiły kilka kroków w stronę schodów. Policjant nie zareagował. Nadal usilnie udawał, że już ich nie widzi. Kontynuowały więc wspinaczkę na czwarte piętro.

Fitness nie należał do pasji Laury. Jedyнным sportem, jaki uprawiała, było chodzenie i to głównie dlatego, że bała się zrobić prawo jazdy, a w autobusach siedziało zbyt wiele ludzi ze zbyt wieloma zarazkami. Dyszała jak parowóz już na drugim piętrze.

Doczłapały w końcu na górę i zaczęły szukać właściwego pokoju. Nie było to łatwe przez czarne mroczki, które zaczęły fruwać Laurze przed oczami.

Znalazły w końcu właściwe drzwi. Laura wyciągała już rękę w stronę klamki, kiedy ktoś otworzył je od środka. Cofnęła się o krok, żeby zobaczyć kto wychodzi, i wtedy jej oczom ukazał się najpiękniejszy człowiek, jakiego w życiu widziała.

Zbudowany jak grecki bóg, z koszulką tak opiętą, że można by się na nim uczyć anatomii. Włosy krótko przystrzyżone, ale nieco dłuższe na czubku głowy. Broda przycięta jak od linijki, do tego wystrojony w idealnie dopasowane ciuchy.

I te oczy... błękitne, wpatrujące się prosto w duszę.

– Mogę w czymś paniom pomóc? – zapytał mężczyzna.

Oczywiście głos miał niski i tak piękny, że mógłby zostać lektorem audiobooków. A kto wie, może nim był...

Laura gapiła się na niego z otwartymi ustami. Nie potrafiła wydobyć z siebie dźwięku i – z jakiegoś nieznanego sobie powodu – wstrzymywała powietrze.

– Dobrze się pani czuje? – zapytał zaniepokojony mężczyzna.

Zosia szturchnęła ją w ramię.

– Oddychaj... – szepnęła, powstrzymując śmiech.

Zamiast wziąć oddech, jak każdy normalny człowiek w takiej sytuacji, organizm Laury postanowił całe swoje zapasy akurat teraz wypuścić. Ponieważ jednak nie miała zbyt wiele powietrza w płucach, zabrzmiała jak Darth Vader szykujący się do ataku.

Przystojny policjant zmarszczył nieco czoło, ale nie dał po sobie niczego więcej poznać.

– Czy pan jest może komisarzem Ostrowskim? – zapytała Zosia, kręcąc zalotnie pasmem włosów w palcach.

– Nie, ja się nazywam Warecki, a komisarz Ostrowski siedzi tutaj – odparł mężczyzna, wskazując głową do wnętrza pokoju, z którego przed momentem wyszedł.



Następnie pożegnał się, błysnął białymi zębami w uśmiechu godnym hollywoodzkiego amanta i odszedł w głąb korytarza, zostawiając dziewczyny i ich kosmate myśli samym sobie.

– Ty, widziałaś jakie ciacho? – powiedziała Zosia, oglądając się za odchodzącym komisarzem.

Oczywiście, że widziała. Oczy ją piekły do tej pory. Z tyłu prezentował się równie dobrze, co z przodu.

– Zapraszam. – Głos ponurego komisarza wydobywający się ze środka pokoju wyrwał je obie z marzeń o jego koledze.

Weszły do niewielkiego gabinetu wytapetowanego policyjnymi plakatami. Komisarz wstał, wziął stojące samotnie w kącie krzesło i dosunął je do krawędzi swojego biurka. Sam usiadł na skrzypiącym fotelu i spojrzał w monitor.

– Podobno chciałyście ze mną rozmawiać – przemówił do swojego monitora.

W odróżnieniu od młodego kolegi, zaczynało mu już brakować włosów tu i ówdzie. Na pierwszy rzut oka można też było zauważyć, że raczej nie chodzą wspólnie na trening.

Zosia złapała Laurę za ramiona i delikatnie popchnęła ją w stronę krzesła. Kiedy Laura już klapnęła na siedzisku, przemówiła zza jej pleców.

– Mamy informacje o morderstwie Marka Zuberka.

Policjant oderwał się od monitora. Spojrzał na nie znad okularów i – nic nie mówiąc – przyglądał im się badawczo.

– Skąd panie w ogóle wiedzą, że to było morderstwo? – zapytał zaintrygowany.

Laura zauważyła kilka siwych włosów na jego brodzie. W przeciwieństwie do kolegi modela, jego broda żyła swoim życiem i już od dawna wołała o strzyżenie.

– No... właśnie nam pan to powiedział – powiedziała Laura cichutko.

Przytuliła mocno swój żółty plecak trzymany na kolanach. Zosia parsknęła śmiechem, ale komisarz nie wyglądał na rozbawionego.

Świetnie, całe życie unikała interakcji międzyludzkich, żeby nikt się na nią nie złościł, a kiedy w końcu się do kogoś odezwała, to wkurzyła komisarza policji!

– Do rzeczy. Czego chcecie? – zapytał szorstko.

Laura wyjęła z plecaka żółty zeszyt Marka. Policjant spojrzał na nią pytająco. Miał takie samo przenikliwe spojrzenie jak ten w drzwiach. Ciekawe czy uczą ich tego spojrzenia w szkole policyjnej. W każdym razie odnosiło skutek. Laura nie potrafiła wydobyć z siebie słowa.

Policjant wziął zeszyt z jej trzęsących się rąk i spojrzał na nią wyczekująco. Laura otworzyła usta, ale znów nie wyszły z nich żadne słowa. Odwróciła się do tyłu i spojrzała błagalnie na Zosię.

– To zeszyt Marka. – Zosia od razu przejęła pałeczkę. – Znalazłyśmy go u niego w pokoju w akademiku.

– Ciekawe, że my go nie znaleźliśmy – powiedział z dezaprobatą komisarz. – Mam rozumieć, że zabralyście dowód z miejsca zbrodni?

– To akademik był miejscem zbrodni? – zapytała od razu Zosia.

Trudno było stwierdzić, czy jest bardziej przerażona, czy podeksytowana. Policjant wypuścił głośno powietrze.

– Nie, ale to nie znaczy, że można sobie bezkarnie zabierać dowody w sprawie – powiedział i zaczął przeglądać zawartość zeszytu.

Z każdą kolejną przewracaną kartką, jego pełne bruzd czoło marszczyło się jeszcze bardziej.

– To ma być jakiś żart? – zapytał, teraz już wyraźnie zdenerwowany. – Co to za brednie o duchach?

– Marek w te brednie wierzył – wypaliła Zosia. – I my wspólnie uważamy, że to miało związek z jego śmiercią.

Mówiąc to, położyła dłoń na ramieniu Laury, która z całej siły walczyła ze sobą, żeby tej ręki nie strącić.

– Czyli według was duchy go zabiły, tak? To jest ta wasza pomocna teoria?

Poszarzała twarz komisarza zaczynała się robić coraz bardziej czerwona.

– Widzicie ten stos? – zapytał, wskazując ogromną stertę teczek, porozrzucanych na krawędzi jego biurka. – To są nierozwiązane sprawy. Nie wiem, w co najpierw ręce wsadzić, a wy przychodzicie tu i zabieracie mi czas bajkami o duchach!

– Ale my...

– No co? – warknął komisarz, aż Laura podskoczyła na krześle.

– My wcale nie uważamy, że Marka zabił duch... – wymamrotała cichutko Laura.

Zaschło jej w ustach. Chyba znów zapomniała oddychać.

– To, co to ma być? – zapytał komisarz, wymachując żółtym zeszytem.

– No bo on wiecznie łąził szukać tych swoich duchów! – wtrąciła Zosia. – A jak ostatnio poszedł, to już nie wrócił!

Komisarz Ostrowski wciągnął głośno powietrze. Patrzył się na nie przez kilka długich sekund, po czym odwrócił się do swojego monitora.

– No dobrze, sprawdzimy to... – mruknął w końcu, patrząc w kierunku ekranu.

– Naprawdę? – zapytała z nadzieją Laura.

Komisarz Ostrowski łypnął na nie spode łba i położył żółty zeszyt na stercie papierów.

– Jeśli to wszystko, to przy wyjściu są moje wizytówki. Proszę dać znać, gdybyście sobie o czymś przypomniały – dodał niechętnie.

Nieco zrezygnowane wyszły z komendy. Wystarczyło, że zrobili kilka kroków na zewnątrz, a już przenikliwe zimno powychodziło we wszystkie niezastłonięte zakamarki ciała.

Laura otuliła się szczelniej szalikiem i poprawiła plecak. Nie tak sobie wyobrażała wizytę na policji. Właściwie to w ogóle jej sobie nie wyobrażała, bo Zosia wzięła ją z zaskoczenia. Ale na pewno nie tak to miałoby wyglądać. Czy ten policjant potraktował je poważnie?

Czy może pomyślał sobie, że ma do czynienia z rozchwianymi nastolatkami?

– Jak myślisz, sprawdzi nasz trop? – zapytała Zosia.

Laura pokręciła smętnie głową.

– Nie wydaje mi się.

– To co robimy teraz? – dopytywała Zosia, tupiąc nogami, żeby nieco się ogrzać.

Laura zaczęła się zastanawiać, kiedy przeszły do etapu „my”. Jeszcze kilka dni temu w ogóle się nie znały, a dziś jeżdżą razem na policję? Czy ta znajomość nie rozwija się zbyt szybko?

Miała serdecznie dość interakcji z ludźmi jak na jeden tydzień. Prawdę mówiąc, starczyłoby jej na cały rok. Najchętniej wróciłaby do domu, zwinęła się pod ciepłym kocem i czytała książki. Ale z drugiej strony, gdzieś głęboko w środku prześladowało ją przeczucie, że musi znaleźć odpowiedzi na nurtujące ją pytania.

– Ta grupa... – zaczęła. – Tych kolegów Marka, z którymi się spotykał. Znasz ich?

– Oczywiście! – odpowiedziała Zosia. – Co więcej, wiem nawet, że w każdy czwartek o dziesiątej przesiadują w Bibliotece Jagiellońskiej.

– To przecież jutro! – zawołała Laura.

– Dokładnie tak! Zaprowadzę cię, pójdziemy tam razem.

My?

## V

Następnego dnia punktualnie o godzinie dziesiątej dziewczyny spotkały się pod Biblioteką Jagiellońską. Przechadzając się między regałami, szukały Artura i jego kolegów. W okazałym gmachu biblioteki przypominało to szukanie igły w stogu siana. Laura nie miała w głowie żadnego planu ani pomysłu, o co mogłaby zapytać. W bibliotece znajdowało się zbyt wielu ludzi, żeby mogła się skupić. Całe

szczęście, że wszyscy są cicho. Co ona sobie wyobrażała? Po co tu przyszła? Przecież nie będzie ich przesłuchiwać.

– Zobacz, to chyba oni – szepnęła Zosia, wskazując na grupę trzech studentów siedzących przy stole w kącie, wertujących opasłe tomy.

Znajdowały się w pomieszczeniu, którego cała przestrzeń wypełniona została stołami. Przy każdym z nich siedziało po kilku studentów. Z takiej odległości zidentyfikowanie konkretnych osób nie było łatwe.

– Jesteś pewna? Nie widzę tam Artura...

– Artur ma dziś poprawkę z biochemii.

– I teraz mi o tym mówisz? – zachnęła się Laura.

Co prawda Artur nie należał do przyjemnych osób, ale jego przynajmniej już знаła. A teraz ma stawić czoła całkiem obcym ludziom?

– Daj spokój, chodź! – zawołała Zosia i pewnym krokiem ruszyła w stronę grupy.

Laura nieśmiało podreptała za nią, biorąc w ramiona swój nieodłączny plecak.

Kiedy podeszły bliżej, Zosia szepnęła stanowczo do Laury.

– Zostaw to mnie, ja będę mówić!

Ani przez ułamek sekundy nie przyszło Laurze do głowy, żeby się wyrywać do rozmowy z obcymi ludźmi.

– Cześć chłopaki... – powiedziała zalotnym tonem Zosia, podchodząc do stolika. – Można? – zapytała, wskazując na puste krzesła.

Nie czekając na odpowiedź, usiadła i pociągnęła Laurę na krzesło obok siebie.

Niski blondyn siedzący w kącie obrzucił je podejrzliwym spojrzeniem, natomiast pozostała dwójka wpatrywała się w Zosię jak w obrazek.

– Znam cię, chodziłaś z Arturem – powiedział blondyn bez cienia uśmiechu.

– Zgadza się, Zosia jestem – powiedziała i wyciągnęła dłoń, witając się kolejno z całą trójką.

Najwyraźniej nie zauważyli, że Laura siedziała tuż obok, co jej bardzo odpowiadało.

– Jestem Kamil... – powiedział wysoki chłopak o długich włosach.

Nie mógł oderwać oczu od Zosi. Przyglądał się jej z otwartymi ustami.

– A ja Marcin – powiedział siedzący obok niego nieco pulchny chłopak.

Jego policzki odrobinę się zaczerwieniły, kiedy dotknął dłoni Zosi, ale nie dał po sobie nic więcej poznać.

– Więc... to wy jesteście tymi pogromcami duchów? – zapytała Zosia prosto z mostu.

To by było na tyle w kwestii subtelного wstępu.

– Czego chcesz? – zapytał Oskar, łypiąc na nią podejrzliwie.

– Czy muszę od razu czegoś chcieć? Przyszłam pogadać.

– A tak serio? – zapytał chłopak.

Zosia przyglądała mu się przez chwilę badawczo. Laura mogłaby przysiąc, że podpatrzyła to spojrzenie u komisarza Ostrowskiego.

– Gdzie byliście w poprzednią środę? – zapytała Zosia.

– A co cię to obchodzi? – odburknął Oskar.

– Może chciałabym do was dołączyć? Nieczęsto można dziś spotkać kogoś tak odważnego, żeby nie bał się zjawisk paranormalnych – powiedziała, trzepiąc włosami i mrugając znacząco w stronę Kamila.

Laura była pod wrażeniem. Nie miała pojęcia, że można aż tak wpływać na zachowanie innych ludzi.

Chłopak spojrzał na nią cielecym wzrokiem.

– Polowaliśmy na ducha... – powiedział rozmarzony.

– Zamknij się! Ona cię podpuszcza! – szturchnął go Oskar.

Kamil podskoczył na krześle i spojrzał w dół. Oprzytomniał i wyglądało na to, że więcej nic nie powie. Jaka szkoda, że urok Zosi nie działa też na Oskara.

– Gdzie byliście tamtego dnia? – zapytała spokojnie Zosia.

– Nie wasza sprawa – wtrącił się Marcin.

– Racja, możemy od razu iść na policję i na was nakablować – powiedziała, krzyżując ramiona.

– Nie masz dowodów, że był z nami – powiedział Oskar pełnym wściekłości szeptem.

– Mamy świadka, który widział, jak Marek z wami wychodzi – wymamrotała cichutko Laura.

Chłopcy spojrzeli na nią zaskoczeni. Trudno było rozpoznać, czy szok spowodowała informacja o świadku, czy może właśnie się zorientowali, że Laura siedziała przy nich przez cały czas.

Zosia uniosła z satysfakcją brwi.

– No dobra, poszliśmy zapolować na ducha – powiedział w końcu Oskar. – Prowadziliśmy obserwacje od dłuższego czasu, wiedzieliśmy, gdzie się pojawia.

– Przygotowaliśmy akcję dokładnie, zebraliśmy wszystkie potrzebne sprzęty – dopowiedział Kamil.

– A po co wam był ten duch? – zapytała Zosia.

– Żeby zabić ducha trzeba spalić ciało zmarłego, który nie potrafi się przenieść na drugą stronę – powiedział nagle Marcin.

Dziewczyny spojrzały na niego, a potem wymieniły znaczące spojrzenia. Laura z rezygnacją potarła czoło.

– Nie pytałyśmy, jak zgładzić ducha, ale dzięki za instrukcje – powiedziała Zosia.

– Chcecie nam powiedzieć, że spaliliście czyjeś zwłoki?! – zapytała Laura.

– No nie... Bo nie udało nam się ustalić czyj to duch – odpowiedział zawstydzony Kamil.

– To po co na niego polowaliście? – zapytała Zosia.

– Żeby nie nękał ludzi w Krakowie – odparł lekceważąco Oskar.

Laura wyprostowała się na krześle.

– Gdzie w Krakowie? – zapytała szybko.



– Nieważne – odpowiedział Oskar, wyraźnie się pesząc. – Ważne, że staraliśmy się pomóc ludziom i sprawić, żeby ich ten duch nie prześladował.

– A kogo prześladował? – dopytywała Zosia.

– No... jeszcze nikogo. Ale skoro się pojawił, to tylko kwestia czasu – odparł Marcin.

– Tak, bo duchy zawsze pojawiają się blisko miejsc, które dla nich coś znaczyły za życia. Albo w miejscach, w których zginęły – mówił Kamil.

Zosia przewróciła oczami.

– To jaki był plan, posypać go solą? – zapytała z przekąsem.

– Nie, to na demony... – wtrącił Marcin.

– No tak, jak mogłam się tak pomylić – odpowiedziała z ironią Zosia.

– Chcieliśmy zbadać pole elektromagnetyczne w miejscu, w którym pojawia się duch – powiedział Kamil.

Najwyraźniej uważał, że Zosię bardzo zainteresowała tematyka polowania.

– I co? – zapytała.

Kamil zorientował się, że koledzy na niego patrzą z dezaprobatą. Zamilkł i znów spuścił wzrok.

– Ty, Winchester, odpowiedz, jak ktoś się grzecznie pyta! – rzuciła Zosia.

Kamil uśmiechnął się pod nosem. Na jego twarzy pojawił się rumieniec.

– No i Marek badał to detektorem pola elektromagnetycznego – wypalił.

Oskar i Marcin szturchnęli go z obydwu stron. Ponownie zamilkł, jednak uśmiech nie zniknął z jego twarzy. Nadal wpatrywał się w Zosię jak zauroczony.

– I co się stało? – zapytała zniecierpliwiona Laura.

Chłopaki popatrzyli po sobie.

– Duch go porwał – powiedział Oskar, tonem, który w jego przekonaniu miał budzić postrach.

– Porwał? – powtórzyła sceptycznie Zosia.

– Tak, uniósł się w powietrze i go zabił – przytaknęła Kamil.

– To zabił czy porwał? – dopytała Laura.

– Najpierw porwał... poderwał... do góry – powiedział Kamil, patrząc na kolegów. – A potem zabił... – dokończył niepewnie.

– W jaki sposób? – zapytała Zosia.

Znów wymienili spojrzenia.

– Wyssał z niego duszę i zabrał ją ze sobą – powiedział dramatycznie Oskar.

– Ale ciało zostawił? – zapytała Laura.

– Tak – przytaknęli wspólnie.

– To dlaczego ciało zostało znalezione pod akademikiem? – dopytywała Laura.

Nic jej się nie zgadzało w ich opowieści.

Znów zerkali jeden na drugiego.

– No bo to tam go ten duch porwał... – powiedział w końcu Kamil. – Pod akademik.

– I wtedy wyssał z niego duszę – dodał Marcin.

– I wy to widzieliście? – zapytała Zosia.

– Tak – powiedział Kamil.

– Nie – odparł w tym samym czasie Oskar.

– To tak czy nie? – zapytała Zosia.

– A wy kim jesteście, że się tak interesujecie?

– Pomagamy policji – powiedziała Zosia, prostując plecy.

Laura przemilczała fakt, że gdyby komisarz Ostrowski to usłyszał, to one dwie pewnie zostałyby aresztowane w pierwszej kolejności.

– Taaa jasne – zaśmiał się Marcin.

– A może to wy nasłaliście na Marka tego ducha, a teraz sprawdzacie, czy wykonał robotę? – powiedział nagle Oskar.

– To ducha można na kogoś nasłać? – zapytała niewinnie Zosia.

– Jeśli ma się wiedzę – odpowiedział z wyższością Oskar.

– Tak jak wy? – podpowiedziała Zosia, szczerząc zęby w uśmiechu.

Oskar zacisnął ze złością zęby, ale nic nie powiedział. Siedzieli przez chwilę w milczeniu.

– Wiecie co, musimy iść na zajęcia. Proszę, poedukujcie się trochę – powiedział zostawiając na stole opasłe tomy o zjawiskach paranormalnych.

Odeszli już kilka kroków, ale Zosia nie mogła się powstrzymać.

– *Who you gonna call?* – zapytała śpiewająco.

– *Ghostbu...* – zaczął Kamil, ale Oskar go odciągnął.

Przyspieszyli kroku i wyszli z biblioteki, szepcząc do siebie gorączkowo.

– Do jasnego krakersa! – zachnęła się Laura.

Zosia spojrzała na nią zaskoczona i parsknęła śmiechem.

– Nie wiedziałam, że jesteś taka wulgarna.

Laura machnęła ręką.

– To teraz co robimy? Scooby Gang nam za wiele nie powiedział... – stwierdziła zrezygnowana Zosia.

– Wręcz przeciwnie.

– Co masz na myśli? – zdziwiła się Zosia.

– A to, że przyznali, że poszli razem na „polowanie”. Czyli potwierdzili twoje słowa: Marek ostatni raz był widziany w ich towarzystwie.

– Ale co z tego, skoro dalej nie wiemy, co się z nim stało.

– Gdybyśmy wiedziały, gdzie poszli, można by się tam rozejrzeć. Jaka szkoda, że nie mamy kopii notesu Marka!

– Kto powiedział, że nie mamy? – powiedziała Zosia, puszczając oko.

Wyjęła telefon i zaczęła go intensywnie przeglądać. Po chwili na ekranie pojawiły się zdjęcia kilku ostatnich stron zeszytu.

Laura wzięła jej telefon do ręki.

– Kiedy ty zdążyłaś to zrobić? – zapytała z niedowierzaniem.

– Kiedy ty postanowiłaś mi umyć całą podłogę w akademiku.

Na ostatniej stronie znalazły dość chaotyczny opis procesu łapania ducha z mnóstwem zbędnych dla nich informacji, w jaki sposób używać detektora pola magnetycznego czy kamery termowizyjnej. W końcu udało im się odszukać jeden fragment, mówiący o tym, gdzie polowanie miało mieć miejsce. Problem w tym, że akurat ten opis Marek postanowił napisać szyfrem.

– *Duch pojawia się tam, gdzie zielone liście szemrają tajemniczo i gdzie ukryty jest od spojrzeń betonowych oczu. Wznoszący się do góry, bijący poświatą w ciemnościach. Tam, gdzie ziemia nie dotyka nieba, a ptaki swobodnie latają* – przeczytała na głos Laura.

– No to nam ułatwił...

– Zaczekaj, zaraz do tego dojdziemy, to nie może być takie trudne.

– Racja, skoro oni to wymyślili, to nie może być trudne – powiedziała z przekąsem Zosia, wskazując głową na kierunek, w którym odeszli koledzy Marka.

– *Zielone liście szemrają tajemniczo...* – powtórzyła Laura, ignorując wypowiedź Zosi.

– Czyli co, park?

– Las – odpowiedziała Laura.

– Skąd ta pewność?

– Zobacz dalej: *ukryty od spojrzeń betonowych oczu*. Beton kojarzy się z miastem, prawda?

– No powiedzmy...

– A parki są zwykle w miastach. Lasy są na uboczu. Tylko o jaki las chodzi? Przecież nie przejdziemy każdego hektara lasu w okolicy Krakowa!

Siedziały przez chwilę w milczeniu.

– Wiem! – krzyknęła nagle Zosia.

Kilka osób siedzących nieopodal zaczęło ją z oburzeniem uciszać.

– Wiem, w jakim lesie trzeba szukać! – dodała już szeptem.

– Skąd?

– Artur zabrał mnie tam parę razy na randkę. Gdy pytałam, czemu lubi akurat to miejsce, to mi odpowiadał, że często tam chodzi z kolegami – powiedziała Zosia. – To co, idziemy?

Laura zastanawiała się przez chwilę. Logika podpowiadała jej, że powinna zostawić tę sprawę policji. Ale z drugiej strony, sterta na biurku komisarza Ostrowskiego była tak ogromna, że pewnie się nie pogniewa, jeśli one mu ociupinkę pomogą.

– Idziemy! – odpowiedziała Laura, zaskakując samą siebie.

### Fragment 3

#### VI

Po dotarciu do lasu okazało się, że Zosia nie pamięta, aż tak szczegółowo rozkładu miejsca, jak jej się wydawało.

– No co? Artur zwykle przewodził...

Dziewczyny przemierzały las, szukając jakichkolwiek wskazówek. Wokół panowała cisza, jedynie szum drzew i ptaków przerywał spokój. W oddali słychać było szmer strumienia płynącego wśród drzew. Uważnie przyglądały się ziemi, szukając śladów, które mogłyby pomóc im w odnalezieniu czegoś, co mogło nawiązywać do wierszyka z zeszytu. Tylko co by to miało być? Rozglądały się wokół, starając się zlokalizować miejsce, o którego wyglądzie nie miały zielonego pojęcia.

– To jak poznaliście się z Markiem? – zapytała nagle ni stąd, ni zowąd Zosia.

Chodziły wzdłuż i wszerz po lesie i od kilku dobrych minut żadna z nich nie wypowiedziała ani słowa.

– Co masz na myśli? – zapytała zdziwiona Laura.

– Mam na myśli... jak się poznaliście? – powtórzyła Zosia. – To dość proste pytanie.

– Na zajęciach.

Zosia przewróciła oczami.

– No, a coś więcej? Kto pierwszy do kogo zagadał? Od razu wpadł ci w oko? Albo ty jemu?

Laura westchnęła głośno i odeszła parę kroków. Nie cierpiała takich rozmów.

– Ja... nie czuję się zbyt dobrze w dużych grupach ludzi – zaczęła Laura.

– No co ty nie powiesz – rzuciła Zosia z przekąsem. – Tylko co to ma do rzeczy?

– Na początku roku nie potrafiłam się do nikogo odezwać... Siedziałam zawsze sama. Marek też zawsze siedział sam, bo go denerwowało, że inni tyle gadają. No i jakoś tak wyszło, że zwykle siedzieliśmy gdzieś obok. Gdy trzeba było robić projekty na zaliczenie, nikt nie chciał nas w grupie, więc zostaliśmy sami.

Chyba nigdy nie powiedziała tylu słów na raz. Aż jej w gardle zaschło.

– I wtedy się w sobie zakochaliście? – zapytała rozmarzona Zosia. Laura spojrzała na nią pytająco.

– Nie, już ci mówiłam, że nie... po prostu musieliśmy razem pracować. I się nawzajem zaakceptować.

– I co, nigdy nic? – zapytała zawiedziona Zosia.

– Nic. Poza tym, że dobrze się z nim pracowało.

– Nigdy ci serce przy nim mocniej nie zabiło?

– Nie rozumiem, co masz przez to na myśli. Chyba w ogóle nie wiem jakie to uczucie, kiedy ktoś ci się podoba.

Zosia parsknęła śmiechem tak głośno, że wystraszyła malutkiego maltańczyka spacerującego nieopodal wraz ze swoją starszą właścicielką.

– *Nie wiem, jakie to uczucie* – powtórzyła Zosia, przedrzeźniając Laurę.

– Serio nie wiem... – obruszyła się Laura.

Czyżby Zosia się z niej naśmiewała?

– A pamiętasz komisarza Ciacho?

– No... to może jednak wiem.

Żeby ukryć rumieńce wylewające jej się na twarz, Laura odeszła trochę dalej, udając, że pilnie poszukuje miejsca opisanego w zeszytce. Zza pleców usłyszała chichot Zosi, ale – ku jej uldze – nie kontynuowały już tematu.

Błąkały się tak już prawie godzinę i stopy Laury powoli zamieniały się w kostki lodu. Nie były ani trochę bliżej od znalezienia miejsca, w którym chłopaki chcieli pogromić ducha. Jak to leciało?

*Wznoszący się do góry, bijący poświatą w ciemnościach. Tam, gdzie ziemia nie dotyka nieba, a ptaki swobodnie latają.*

Co to, do krakersa, miało znaczyć?

Zatrzymała się na chwilę i wyjęła z plecaka termos z herbatą i plastikowy żółty kubeczek. Zosia od razu do niej podeszła, czekając, aż dostanie łyka. Laura przewidziała taką ewentualność, ale za nic w świecie nie pozwoliłaby jej pić z tego samego kubeczka.

– Ile ty masz lat? – zaśmiała się Zosia, kiedy Laura wyjęła z plecaka drugi kubek.

– Ten różowy będzie twój – powiedziała ze śmiertelną powagą. – Na zawsze.

– I będziesz go zawsze nosić ze sobą? – zapytała Zosia z rozbiawieniem.

– Tylko wtedy, kiedy będę nosić termos.

Zosia znienacka uściskała Laurę z całej siły. Nie rozumiejąc powodów tej nagłej czułości, Laura spięła się i znieruchomiła.

– Niech zgadnę, nie lubisz się przytulać? – zapytała Zosia prosto do jej ucha.

– Ani trochę...

Zosia wyswobodziła ją z uścisku i nalała sobie herbaty. Laura rozglądała się wokół, czekając, aż jej napój nieco wystygnie. Nagle jej wzrok padł na niewielkie skały widoczne ponad głową Zosi.



Wystawały nad konarami bezlistnych drzew. Stąd wyglądały, jakby zlewały się z szarymi chmurami w jedność.

*Tam, gdzie ziemia nie dotyka nieba...*

No tak!

Wydała z siebie okrzyk radości, zaskakując Zosię tak bardzo, że ta wylała na siebie resztki herbaty.

– Co się stało? – zapytała zdeorientowana.

– Ziemia nie dotyka nieba! – wykrzyknęła wskazując palcem na skały. – To skały dotykają nieba!

Zosia podążyła wzrokiem za jej palcem.

– A ptaki swobodnie latają! – dopowiedziała.

Pochowały kubeczki i termos do plecaka i pobiegły w stronę skał. Z daleka dystans nie wydawał się zbyt długi, ale po kilku minutach szybkiego marszu obydwie dyszały. Na domiar złego okazało się, że muszą jeszcze obejść całą skałę, żeby znaleźć w miarę łagodne wejście pod górę.

Wreszcie dotarły na niewielki szczyt. Zatrzymały się na chwilę i zgięły w pół, próbując złapać oddechy. Mroźne powietrze boleśnie drapało w gardło przy każdym wdechu.

Laura wyprostowała się i dokładnie w tym momencie przypomniała sobie, że ma lęk wysokości. Jak mogła o tym zapomnieć?

Zaczęło jej się kręcić w głowie, a potem ziemia, czy może raczej skała, na której stała, zaczęła się przybliżać i oddalać. Albo tylko jej się wydawało.

– Co się dzieje? – zapytała Zosia, łapiąc ją pod ramię.

Posadziła ją na lodowatym kamieniu i rozluźniła nieco szalik. Laura próbowała ją zatrzymać.

– Zostaw, wiem, co robię, jestem lekarzem – powiedziała Zosia.

Laura spojrzała na nią zaskoczona.

– Będę lekarzem – poprawiła Zosia. – Studiuję medycynę. W każdym razie wiem, co robię. Słabo ci?

Laura pokręciła głową. Gadulstwo Zosi bardzo skutecznie rozprasało ją od skupiania się na swoich lękach.

Powoli, podpierając się na ramieniu koleżanki, Laura podniosła się do pozycji stojącej. Nogi miała jak z waty.

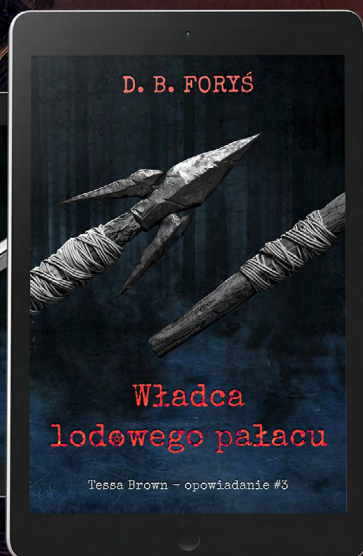
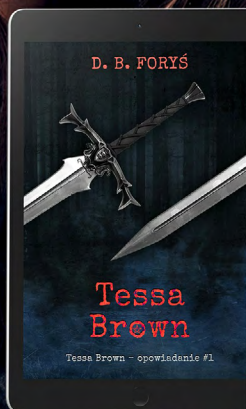
– Chcesz stąd zejść? – zapytała Zosia, ale Laura znów pokręciła głową.

Musi zobaczyć na własne oczy to miejsce. Nie da sobie wmówić, że Marka zabrały duchy. Wiatr wiał tu znacznie głośniej niż na dole.

OPOWIADANIA

do cyklu TESSA BROWN

NOWOŚĆ!



Empik

PulpUp

Legimi

Dla odpowiednio ukierunkowanej wyobraźni te dźwięki mogły przypominać wołanie ducha.

Stawiając powoli stopę za stopą, Laura podeszła bliżej krawędzi. Nadal jednak nie widziała tego, co jest na dole.

Spojrzała na Zosię, a ta bez słowa złapała ją za plecak i zaparła się stopą o wystający kamień.

Nie do końca o to Laurze chodziło, bo planowała zaproponować, żeby to Zosia podeszła bliżej, ale trudno. Przesunęła się o kolejne kilka centymetrów.

Pokonanie jednego metra trwało w nieskończoność. W końcu jej stopa dotknęła krawędzi.

– Tylko nie patrz w dół... – powiedziała zza jej pleców Zosia.

Można się domyślić, co zrobiła Laura.

– Spojrzałam w dół! – krzyknęła. – Ja patrzę w dół!!!

– Przestań się szarpać!

Laura zaczęła tracić równowagę. Znowu jej się kręciło w głowie. Wiedziała, że Zosia ją mocno trzyma z tyłu, ale co, jeśli paski plecaka nagle się rozerwą? Albo skała się ukruszy i obie spadną? Albo rozpęta się burza i trafi w nie piorun?

Opadła na kolana, boleśnie je kalecząc. Zewnętrzny bodziec bólu zadziałał na nią trzeźwiąco. Oparła się na ramionach, żeby wstać z pozycji klęczącej i wtedy coś zobaczyła.

– Czy to jest krew? – zapytała Laura, wskazując kamień obok swojej stopy.

Zosia przysunęła się bliżej, żeby obejrzeć ciemną plamę rozmazaną na oblodzonej skale.

– Czy ja wiem... Może być. Ale równie dobrze to może być smar albo coś takiego...

– Smar? Na skałkach?

– Powiedziałam „może”.

Laura wyjęła telefon i zrobiła zdjęcie dziwnej mazi. Chciała już wstać, zejść i odejść stąd jak najdalej, ale coś ją tknęło. Złapała jedną

ręką mocno za nogawkę Zosi i wychyliła się tak, żeby zobaczyć, co jest na dole.

– Co ty robisz? Uważaj!

Tuż pod miejscem, gdzie stały, dokładnie pod skarpą, leżał biały, niestopiony jeszcze śnieg. Musiał się zachować ze względu na dużą ilość krzaków wokół i daleką odległość od ścieżki. Na samym środku białej kołderki znajdowała się wielka, czerwona plama.

## VII

– Tak, krew – mówiła do telefonu Zosia. – Nie, niczego nie dotykałyśmy. No to przecież tłumaczę, że same znalazłyśmy.

Rozmawiała z komisarzem Ostrowskim. Laura nie miała siły ani ochoty na kolejną konwersację z groźnym policjantem.

– Powiedz, że krew jest też u góry – szepnęła do Zosi.

– Laura mówi, że krew jest też u góry. No u góry. Na skałkach. Nie wiem czyja, pewnie Marka. Nie, na pewno niczego nie dotykałyśmy. To co, przyjedzie pan? A może ten przystojny komisarz? Aaa, wyjechał z Krakowa... no szkoda.

– I co, przyjedzie? – zapytała Laura, gdy tylko jej koleżanka się rozłączyła.

– Tak, ale strasznie marudził – powiedziała Zosia, przewracając oczami. – Pomyślałby kto, że będzie nam wdzięczny, że wykonujemy za niego całą czarną robotę.

Policja przyjechała dość szybko, choć na dworze i tak zdążyło zrobić się już ciemno. Porozstawiali taśmy policyjne i zaczęli zbierać ślady. Laura i Zosia trzymały się na uboczu, ale wystarczająco blisko, żeby wszystko obserwować.

I schodzić z oczu komisarzowi Ostrowskiemu.

Mroźny wiatr smagał ich twarze jak lodowy bicz. Temperatura spadała z godziny na godzinę, ale dziewczyny za nic w świecie nie chciały opuścić miejsca akcji.

W opustoszałym lesie wiatr wydawał przedziwne odgłosy. Gdyby nie otaczająca ich grupa policjantów, nawet Laura zaczęłaby kwestionować istnienie istot paranormalnych.

Zosia zaczęła podskakiwać z zimna akurat w momencie, kiedy podszedł do nich komisarz Ostrowski.

– Miałycie rację, to krew. Porównamy ją z krwią Marka Zubera. Mamy prawo podejrzewać, że to on, biorąc pod uwagę, że oprócz krwi na dole było jeszcze to – wskazał na plastikowy woreczek trzymany w dłoniach.

W środku znajdował się jakiś dziwny i wygnieciony przedmiot.

– A co to takiego? – zapytała Zosia.

– Detektor pola magnetycznego. Zmiażdżony.

– Ześlizgnął się i spadł, prawda? – powiedziała Laura.

Policjant spojrzał na nią uważnie.

– Skąd taka hipoteza?

– Skały są śliskie, z łatwością mógł ujechać i spaść. Ślady krwi na skale u góry wskazują, że się uderzył i to dość mocno, skoro krwi jest dużo. Z ręki albo kolana nie byłoby tego aż tyle. Zakładając, że uderzył się w głowę, możemy uznać, że od razu stracił przytomność, więc nie mógł się niczego złapać. I spadł na sam dół. Stąd wielka plama krwi na śniegu na dole.

– Wow... – wyrwało się Zosi. – Chyba pierwszy raz słyszę, żebyś powiedziała na raz tyle słów.

– Albo... albo go ktoś zepchnął. Wtedy nie miał szans się złapać, tylko leciał w dół, uderzając wcześniej głową o krawędź – dokończyła Laura.

– Bardzo trafne spostrzeżenia – powiedział komisarz Ostrowski. jednak bez cienia entuzjazmu. – Jestem skłonny się z nimi zgodzić. Tylko skąd wiedziałyście, żeby tutaj szukać śladów? Nie informowaliśmy nikogo, że ciało zostało przeniesione.

– *Tam, gdzie ziemia nie dotyka nieba, a ptaki swobodnie latają* – wtrąciła Zosia.

– Że co? – zapytał komisarz Ostrowski.

– Marek opisywał w swoim kajeciku te ich dziwaczne wyprawy. Tak opisał to miejsce. Laura to wykminiła! – powiedziała z dumą Zosia.

Laura nie wiedziała, jak się reaguje na komplementy, więc postawiła na sprawdzone „Eee...” w zestawie z rumieńcem na twarzy.

Komisarz nic na to nie odpowiedział.

– Panie komisarzu... – zaczęła cichutko Laura, kiedy już nieco ochłonęła z szoku, jakim była pochwała. – Podejrzewacie, kto mógł przenieść ciało? I dlaczego?

Komisarz Ostrowski przyjrzał jej się badawczym wzrokiem, tak intensywnie, że miała ochotę schować się za Zosię.

– Na tym etapie śledztwa nie mogę udzielać takich informacji. Chcesz mi o czymś jeszcze powiedzieć? – zapytał podejrzliwie.

Laura potrząsnęła głową.

– Co, do jasnego krakersa... – wrzasnęła nagle Zosia, wskazując palcem na wierzchołek skał, z których spadł Marek.

Na samym skraju skarpy, pół metra nad powierzchnią, na tle czarnego nieba unosiła się biaława, półprzezroczysta łuna. Choć Laura nie wierzyła w duchy, nawet jej wszystkie włosy stanęły dęba.

Policjanci też popatrzyli w górę. Niektórzy wydali z siebie zduszone okrzyki.

– Co, do cholery! – wrzasnął komisarz Ostrowski.

Wściekłym krokiem podszedł do wielkiego, policyjnego reflektora oświetlającego drogę do miejsca, w którym znaleźli krew. Przesunął go do góry tak, aby oświetlić ducha, ale gdy tylko łuna światła na niego padła, duch zniknął.

Oczy wszystkich utkwione były w miejscu, w którym przed chwilą się unosił. Serce Laury waliło jak oszałałe.

– Duchy naprawdę istnieją? – wyszeptała przerażona Zosia.

– Nie – powiedziała z niedowierzaniem Laura. – No przecież nie! – powiedziała nieco głośniej, biorąc głęboki wdech.



Komisarz Ostrowski podzielał jej zdanie. Przyglądał się intensywnie skarpie, po czym zgasił reflektor. Duch ukazał się od razu. Znów dryfował w jednym miejscu.

Komisarz Ostrowski zapalił lampę i zjawa natychmiast zniknęła.

– Boi się światła, czy jak? – zapytała Zosia, trzymając się mocno rękawa Laury.

Kilku policjantów weszło ostrożnie na skarpe. Komisarz Ostrowski tym razem nie gasił reflektora, a przesunął go nieco w bok. Duch ukazał się od razu. Zosia wzmocniła uścisk.

Dwóch policjantów podeszło powoli do świetlistej chmury.

– Szefie, to jest odbicie światła, oświetla mgłę.

– Co?

Funkcjonariusze zaczęli się rozglądać ponad ich głowami.

– Stamtąd! – wskazał jeden z nich.

Za ich plecami znajdował się mały strumyk, w większości zamrznięty. W tafli ruchomej wody jak w lustrze odbijał się strumień światła, padający z przewróconej i uszkodzonej latarni leżącej nieopodal.

– I po duchach... – powiedział komisarz Ostrowski.

Wysłał jednego z policjantów w stronę lampy. Gdy stanął tuż przed nią, zasłaniając sobą dopływ światła, ich duch zniknął.

– To wszystko? – zapytała rozczarowana Zosia.

– Mówiłam ci, że duchy nie istnieją – odpowiedziała Laura.

Policjanci zajęli się uszkodzoną latarnią. Ich duch więcej się nie pojawił. Pojawił się za to wzmożony wiatr i spadek temperatury. Komisarz Ostrowski powiedział Laurze i Zosi, że ich obecność nie jest już wymagana i najgrzeczniej jak umiał, kazał im opuścić las.

– Chodź, odwiozę cię do domu, późno już – powiedziała Zosia.

Po paru minutach siedziały w ciepłym samochodzie, słuchając muzyki wydobywającej się z głośników. Laura była niesamowicie głodna, ale pozwoliła schować swój plecak do bagażnika więc musiała jeszcze trochę wytrzymać.



– Nie zastanawia cię, dlaczego Marek się nie zorientował, że to tylko światło we mgle? – zapytała Zosia. – Nie był głupi, mógł to zauważyć, zamiast podchodzić do krawędzi z tym detonatorem.

– Detektorem – poprawiła ją odruchowo Laura. – A co do duchów... widział to, co chciał widzieć. Od dawna szukali z kolegami dowodu na ich teorię, aż w końcu znaleźli.

– No racja... poza tym ten creepy las, świszczący wiatr... sama bym się o mało nie dała nabrać.

Laura spojrzała na nią z uniesionymi brwiami. Powinna jej przypomnieć, że dała się nabrać, czy jeszcze za wcześnie?

– Dobra, nic już nie mów... – powiedziała Zosia, jakby czytając jej w myślach. – Dojechałyśmy – dodała, zatrzymując się pod jej domem.

Laura wygramoliła się z samochodu i podeszła do bagażnika. Zosia czekała, gapiąc się w ekran telefonu. Po kilku nieudanych próbach, Laurze udało się otworzyć klapę.

W ciemnym bagażniku nawet jej żółty plecak nie od razu rzucał się w oczy. Laura uruchomiła latarkę w telefonie i od razu zlokalizowała swój kanarkowy skarb. Wyciągnęła po niego rękę, w której trzymała telefon i wtedy zobaczyła coś, co spowodowało, że zatrzymała się w połowie ruchu.

Jej telefon wciąż miał włączoną latarkę i oświetlał materiał, którym wyłożony był bagażnik. Tuż obok miejsca, gdzie wylądował jej byle jak, rzucony przez Zosię plecak, znajdowała się wielka czerwona plama.

– Co tak długo? – zawołała Zosia, zza kierownicy.

– A nic, już idę – odpowiedziała Laura, robiąc szybko zdjęcie plamy krwi.

Wydobyła chusteczkę z kieszeni kurtki i przycisnęła ją z całej siły do plamy, żeby choć odrobinę mazi przeszło na papier.

Chowając zdobycz za plecami, odeszła w stronę swojego domu, czekając, aż Zosia odjedzie.

Kiedy tylko została sama, wyjęła telefon i wybrała numer telefonu komisarza Ostrowskiego. Do czego to doszło, że sama z własnej woli dzwoni do obcego człowieka. I to jeszcze, żeby z nim porozmawiać! Ale tym razem nie ma na kogo tego zrzucić. Musi mu o tym powiedzieć.

## Fragment 4

### VIII

Komisarz Ostrowski powiedział, że zatrzymają Zosię z samego rana. Zabronił Laurze się z nią kontaktować, żeby jej nie spłoszyć. Laura wstała skoro świt i poszła do akademika. Mama była bardzo niezadowolona, że wychodzi tak rano i wypytywała ją, dokąd idzie, ale Laura wykręciła się odpowiedzią, że musi iść do koleżanki. Mówiła prawdę. Nie dodała po prostu, że idzie sprawdzić, czy ta koleżanka zostanie aresztowana.

Laura poszła do akademika i usiadła na półpiętrze schodów. Rozłożyła kurtkę pod plecami i oparła się o ścianę, budując sobie mały obóz. Wyjęła z plecaka książkę i starała się skupić na lekturze. Policja nie określiła, co dla nich znaczy „rano”, więc domyślała się, że spędzi w tym miejscu sporo czasu.

Po dwóch godzinach na korytarzu minął ją komisarz Ostrowski. Przyszedł z dwoma innymi policjantami, ale żaden z nich nie miał munduru. Na jej widok żyła na jego czole zaczęła dziwnie pulsować. Laura podała mu plastikowy woreczek spożywczy, do którego schowała pobraną poprzedniego dnia próbkę krwi. Wziął zawiniątko i sapiąc gniewnie schował je do kieszeni.

– Masz tu siedzieć i się nie ruszać, rozumiano? – syknął w jej stronę.

Nie musiał tego mówić. Laurze wystarczyło samo jego spojrzenie, żeby się do niego nie zbliżać.

Policjanci podeszli spokojnie do drzwi pokoju Zosi i zapukali. Laura podreptała nieco bliżej i schowana za rogiem słuchała tego, co się działo. Nie mogła jednak stąd nic zobaczyć. Usłyszała dźwięk otwieranych drzwi.

– Pan komisarz? – powiedziała zaskoczona Zosia.

– Dzień dobry. Pani Zofia Raban?

– No pewnie, że ja. Co to za pytanie? Przecież mnie pan zna.

Komisarz Ostrowski wypuścił głośno powietrze.

– Takie procedury. Pani Zofio...

– Zosiu.

– Pani Zosiu – powtórzył komisarz Ostrowski. – Chcieliśmy zadać pani parę pytań.

– Pytajcie.

– Gdzie pani była w poprzednią środę między osiemnastą a dwudziestą pierwszą.

– Tutaj.

Kątem oka Laura zauważyła, że drzwi pokoju, w którym mieszkał Marek, nieznacznie się uchyliły. Przez małą szparę nie mogła nikogo dostrzec, ale najwyraźniej nie była jedyną osobą, która przysłuchiwała się rozmowie.

– Czy ktoś może to potwierdzić?

– Zaraz, czy pan mnie o coś podejrzewa? – zapytała Zosia z niepokojem w głosie. – Gdzie jest Laura?

– Nieistotne, gdzie jest teraz pani Laura. Pani Zofio...

– Zosiu – wtrąciła odruchowo.

– Pani Zosiu – wycedził komisarz Ostrowski. – Czy ktoś może potwierdzić, że cały wieczór spędziła pani w akademiku?

– No raczej tak... tu się dużo osób kręci, co chwilę ktoś wpada. A zresztą, dokąd miałabym wyjść, przecież nie miałam wtedy auta.

Laura wstrzymała powietrze.

– Nie miała pani samochodu? Co się z nim stało?

– Pożyczyłam koledze z roku.

Policjanci przez chwilę nic nie mówili. Laura potrafiła sobie wyobrazić, jak patrzą na siebie wymownie.

- Komu pożyczyła pani swój samochód?
- Mojemu byłemu, Arturowi Kleszczyńskiemu.

Wydarzenia w ciągu następnych kilku sekund zadziały się niesamowicie szybko. Na dźwięk wypowiedzianego przez Zosię nazwiska z uchylonych drzwi wyłonił się nie kto inny, jak Artur we własnej osobie. Z prędkością światła rzucił się w stronę schodów, gdzie za rogiem stała ukryta Laura.

Policjanci ruszyli za nim, ale miał sporą przewagę. Pokój Zosi znajdował się znacznie głębiej w korytarzu niż pokój Marka i Artura.

Laura widziała to wszystko jakby w zwolnionym tempie. To, jak wybiega z pokoju, jak odtrąca przechodzących obok przypadkowych studentów i kieruje się w jej stronę.

Coraz bliżej.

Jeśli ją minie i pobiegnie w dół, policjanci nigdy go nie złapią.

Niewiele myśląc, Laura wyciągnęła rękę akurat w momencie, w którym przebiegał obok niej. Złapała go mocno za ramię.

Zachwiał się i przewrócił, lecąc prosto na strome schody, a Laura trzymająca się jego ramienia poleciała razem z nim.

Ledwo wylądowali na półpiętrze, podniósł się i zerwał, żeby uciec. Otumaniona po upadku Laura, starała się złapać go za cokolwiek. Udało jej się chwycić jego nogawkę, powodując, że ponownie stracił równowagę.

Wyszarpał nogę i z wyrazem wściekłości wypisanym na twarzy, przysunął się do niej. Widziała tylko zbliżającą się postać, a zaraz za nią zwiniętą w pięść dłoń chłopaka.

Nie potrafiła się ruszyć. Powinna teraz zasłonić głowę, zablokować cios, chociażby oczy zamknąć, ale nie mogła się zmusić do ruchu. Po prostu leżała na tych brudnych schodach, zastygła ze strachu i czekała na uderzenie.

W ostatnim momencie komisarz Ostrowski pojawił się za plecami Artura i złapał jego pięść w połowie drogi.

– Już, spokój! – zawołał, z łatwością podnosząc Artura i odsuwając go na bok.

Zdążył! Dobiegł na czas!

– Wszystko w porządku? – zapytał komisarz Ostrowski, pochylając się nad nią i chuchając tytoniowym oddechem prosto w jej twarz.

Chciała coś odpowiedzieć. Ale zamiast tego, jego postać nagle zamieniła się w ciemność.

## IX

– Laura! – krzyknął ktoś, szarpiąc ją za ramię. – Laura, obudź się!

Czyżby już umarła? Jeśli tak, to czemu wszystko ją tak bardzo boli? Otworzyła powoli oczy.

– No w końcu! – krzyknęła Zosia.

Kucała obok niej na podłodze, a w rękach trzymała małą apteczkę.

– Co się stało? – wymamrotała Laura.

– Zatrzymałaś mordercę! – krzyknęła Zosia, przykładając jej do skroni woreczek z lodem. – Jak się czujesz?

– Boli mnie głowa...

To mało powiedziane. Głowę miała ciężką jak z ołowiu, a przy tym obraz przed oczami wirował jak oszalały.

Zosia pomogła jej podnieść się do pozycji siedzącej.

– Jak to *zatrzymałam mordercę*? – zapytała Laura, próbując sobie przypomnieć, co się wydarzyło.

– Artur uciekał, a ty stanęłaś mu na drodze – powiedziała z niedowierzaniem Zosia, przyciskając mocniej woreczek z lodem do jej czoła.

– No...

– Nie wierzę, że pomyślałaś, że to ja! – rzuciła Zosia.

Trudno było rozpoznać, czy jest bardziej oburzona czy podekscytowana.

– Przepraszam... ale wszystko mi pasowało.

Zosia machnęła ręką.

– Boisz się własnego cienia, stronisz od ludzi... nie potrafiłaś się odezwać do przystojniaka z policji, ale dałaś radę zatrzymać prawdziwego zabójcę! Jak to zrobiłaś?

– Ja... sama nie wiem. Jakoś poszło – odpowiedziała Laura, zastanawiając się nad słowami koleżanki.

Nie było jej dane długo nad tym rozmyślać, bo podszedł do nich komisarz Ostrowski.

– Jak się czujesz? – zapytał surowo.

– Jeszcze nie wiem – wymamrotała Laura.

Komisarz Ostrowski kiwnął głową. Na jego twarzy pojawiło się coś podobnego do uśmiechu, ale szybko zniknęło.

– Artur Kleszczyński przyznał się do wszystkiego.

– Zabił Marka? – zapytała z niedowierzaniem Zosia.

– Twierdzi, że to był wypadek. Poszli razem polować na tego ich ducha, Marek Zuber podszedł do krawędzi, poślizgnął się i spadł ze skarpy. Zeszli na dół, zobaczyli, że nie żyje i spanikowali. Przewieźli ciało pod akademik i udawali, że o niczym nie wiedzą.

– Mogli przecież zadzwonić na pogotowie! – powiedziała Zosia.

– Mogli – przytaknął komisarz Ostrowski. – Ale zamiast tego woleli nam wciskać bajeczkę o duchach.



**Możesz w nią nie wierzyć,  
ale nie uda Ci się przed nią uciec!**

# PRZEPOWIEDNIA

Kontynuacja powieści okrzykniętej książką ADHD

– Wam? – wyrwało się Laurze.

– No właśnie! To my z Laurą z nimi gadałyśmy! Od początku panu mówiliśmy, że ten jego zeszyt ma z tym wszystkim coś wspólnego. Komisarz Ostrowski zmarszczył czoło jeszcze bardziej.

– Taaak – mruknął. – Wasza pomoc była... nieodzowna – powiedział tonem tak lodowatym, że nawet duch mógłby się wystraszyć. Gdyby istniał.

– Coś mi się wydaje, że to początek wspaniałej przyjaźni! – zawołała Zosia.

Po minach komisarza Ostrowskiego i Laury trudno było wnioskować, czy dzielają jej zdanie.



**Monika Szczurek, pisząca pod pseudonimem M.A. Rattek**

– Jestem absolwentką Politechniki Śląskiej. Na co dzień pracownik działu HR. Praca zawodowa pozwala mi na obserwację natury ludzkiej od tej lepszej, jak i gorszej strony. Dostarcza mi też wystarczająco pomysłów i potencjalnych motywów do kolejnych opowieści.

Pasję do pisania książek noszę w sobie od dawna, tworząc rozmaitych bohaterów i ich historie.

W wolnych chwilach, oprócz czytania, próbuję też rysować – ołówkiem po papierze i malować – cieniami na powiekach. Uwielbiam trening siłowy prawie tak samo, jak praliny Lindor.



# W przestrzeni ponad światem

Jakub Lubawy

Pochłania mnie wszechświat  
Wszystko wokół jest martwe  
Chciałbym to jakoś zmienić  
Z czarnego zrobić białe  
Uchwycić tych barw gradację,  
By w szarości upatrzeć rozwiązanie  
Horyzont jest czernią  
Przestrzeń mym nowym światem,  
Mą trumną, muzą i po wsze czasy mieszkaniem  
Ten kosmos jest wielki  
Pochłania mnie całkiem  
Nie ma tu luster  
Cieni też próżno tu szukałem  
Nic nie wiem o świecie  
Jeszcze mniej o Układzie  
A gdzie w tym kosmos?  
O nim wiedzieć mi nie dane  
Mimo że w nim tkwię na zawsze  
Nie jestem ciężarem  
Nie odda mi siebie  
Nie dowiem się wcale  
Jako on powstał  
Jak się w nim znalazłem

Nie chce mych pytań  
Ja też ich nie miałem w planie  
Nie umiem go nazwać  
Zbadania prób nie podejmę nawet  
Wołam więc Wszechświat  
On milczy  
I tak już zostanie...

Ciekawość to pierwszy stopień do szczęścia...

Czasoprzestrzeń  
ul. Tramwajowa 1-3  
Wrocław



Znajdź swoją przestrzeń wśród książek.

29-30  
marca 2025

# ONA Michała Wójcika

Karolina Adamska

Piraci, kosmos, romans, wojna, a w tym wszystkim Michał Wójcik ze swoim cyklem: SŁUGA PIASKU.

## ONA – Brzemień Legendy

Wychowałam się na filmach i książkach związanych z pirackimi podróżami. Nieobce są mi nazwiska Anne Bonne, Edward Teach (Czarnobrody), Jack Rackham, Woodes Rogers i inni.

Pewnego razu, spacerując po targach książek, zatrzymałam się przed stoiskiem intrygującego mężczyzny, z przepiękną kobietą stojącą obok niego i zapytałam, cóż tu dobrego mają.

To właśnie wtedy kupiłam dwie części *Sługi Piasku* (**On, Ona**), a teraz, po dłuższej już znajomości z autorem i jego wspaniałą żoną Karoliną, podjęłam się współpracy przy trzecim już tomie jako patronka medialna!

Jeśli tak jak ja lubicie zanurzyć się w klimacie pirackiego życia — **ZDECYDOWANIE POLECAM.**

Jeśli Star Warsy, czy inne kosmiczne przygody są wam bliskie — **ZDECYDOWANIE POLECAM.**

Jeśli chcecie dać szansę mniej znanemu autorowi i pomóc mu przy rozwoju — **ZDECYDOWANIE POLECAM SIĘGNAĆ PO TEN CYKL.**

Michał Wójcik postanowił przełożyć na papier swoją miłość do pisania i podzielić się z nami tym, co tam w tej jego głowie powstało. Na szczęście nie przekazał nam wszystkiego, bo tego to by nawet wszyscy święci nie unieśli! Ale dał ten skrawek, który serdecznie mogę polecić.

Nie będę rozwodzić się nad tym, co działo się w pierwszym i drugim tomie (kto nie czytał, to zachęcam nadrobić), ale z chęcią napiszę kilka zdań na temat najnowszej premiery.

A jest znacznie lepsza od poprzednich, nie tylko pod kątem fabularnym, ale również redakcyjnym.

Bunty, żegluga, abordaże, pijackie rozróby, namiętność, nadzieja, zdrada... książka dostarcza roellcoster emocji!

Dark fantasy napisane z humorem, ale przepełnione również poważnymi tematami i mrokiem. Tym skrywającym się w każdym z nas...

Autor wplata w historię problemy, z jakimi borykają się główni bohaterzy, dając czytelnikowi nadzieję, że chociaż bywa naprawdę kiepsko, to zawsze jest

nadzieja. Czy jesteś kapitanem statku, czy zbierającym ryż na jednym z najniższych szczebli drabiny społeczeństwa – masz szansę pokierować swoim życiem. Czy ci się uda, to inna sprawa, ale spróbować zawsze możesz.

### Co znajdziemy w III tomie?

Przed Anne kolejne wyzwania!

Czy poradzi sobie w niebezpiecznym świecie, gdzie (prawie) każdy dybie na jej życie?

Co stanie się z Brego? Czy uda mu się odnaleźć siostrę Kari?

Kto przetrwa i za jaką cenę?

Czy Anne pokona wszystkie demony, próbujące wydrzeć z jej życia nadzieję?

Co do Michała (autora) miałam zastrzeżenie tylko do redakcji/korekty pierwszych tomów, ale przy trzecim, autor jak i jego ekipa postarali się na tyle, że śmiało mogę poszczycić się patronatem.

Historia nabiera rozpędu, a czytelnik ma możliwość wciągnąć się bez reszty i poczuć jak podczas prawdziwej przygody na pirackim statku!

Warto jest sięgnąć po książki Michała Wójcika i dać mu szansę na podzielenie się tą częścią jego życia.

Ilu ludzi, tyle opinii. Jedne będą pozytywne, inne negatywne. Chciałabym jednak podejść do całego cyklu szczerze i obiektywnie.

Przy pierwszych tomach nie wiem, czy wzięłabym je pod swój patronat. Jeśli decyduję się na współpracę patronacką, muszę mieć pewność, że autor sprzedaje stuprocentowy produkt, zadbane, sprawdzony, poprawny. Trochę mi tego zabrakło w poprzednich tomach.

Niemniej widzę, ile pracy włożył Michał, aby napisać kolejny tom i ile czasu poświęcił na to, żeby dopiąć go na ostatni guzik. Wierzę, że jego droga dopiero się rozpoczęła, a historia *Sługi Piasku* będzie na tyle długa i absorbująca, że z każdym tomem będzie tylko lepiej.

Nie rozwija się tylko ten, kto nie próbuje lub uznał, że osiągnął wszystko. Przed Michałem daleka droga, ale mnie to cieszy, bo wiem, że czeka nas coraz lepsza wersja tego autora.

Warto jest dać mu szansę i poznać.

Książki Michała są naprawdę przyjemne i przepięknie wydane. Okładki robią robotę, a to, co w środku – jeszcze bardziej.

Serdecznie zachęcam zajrzeć na autorską stronę Michała Wójcika – <https://michalwojcikautor.pl>.

Nie przegap, poznaj fantastykę, jakiej brakowało na rynku wydawniczym!

## CYTATY:

„Kapitan Williama II nic nie odpowiedziała. Udało im się jedynie ustalić, że to Anne dołączy do Jacka na jego planecie i wspólnie udadzą się na Nassau. Kapitan Williama II nie wiedziała, czy się cieszyć na myśl o kolejnej silnej kobiecie w organizacji pirackiej – bo za taką się uważała – czy raczej obawiać. Konfrontacja raczej była nieunikniona i musi do niej dojść wcześniej czy później. Tego akurat była pewna”.

„Noc tutaj była jasna i ciepła. Ułożyli się pod jednym z gigantycznych grzybów i starali się zasnąć. Jednak życie na planecie zaczynało się dopiero z ostatnim promieniem słońca.

„Przeróżne zwierzęta zaczęły wychodzić ze swych nor. Można było usłyszeć ogromną ilość wydawanych przez nich dźwięków. Spotkali stado sześciornamiennych małp, które były dużo większe od tych widzianych w starych ziemskich atlasach. Ptaki latały w pozycji pionowej po skosach, a po ziemi pęzało stworzenie podobne do płaszczki bez ogona”.



**Karolina Adamska** – promotorka czytelnictwa. Uważa, że jeden uśmiech może odmienić czyjś dzień. Właścicielka czterech kotów i psa. Miłośniczka Islandii, grozy i Sherlocka H. W marzeniach — pisarka.

# Żeglarz gwiazd

Adam Sołtys

*Niektórzy mówią, że Otchłań przybyła z gwiazd, ale nie chce mi się w to wierzyć. Ona od zawsze mieszkała w naszych sercach.*

Mądrości skromnego wędrowca  
Ly, zwany Wielkim

Samran stał na plaży i wpatrywał się w dal, a ciepłe fale całowały go po stopach. Srebrne żagle samotnych łódek migotały na pomarszczonej tafli oceanu, a gwiazdne ławice rozświetlały czarną kopułę czystego nieba. Nieba, które już dzisiaj będzie jego nowym domem.

Życie gwiazdnego żeglarza do czasu odpłynięcia w Eter było dobre, a wszyscy mówią, że najlepsze dopiero przed nim. Aż ciężko było w to uwierzyć. Nic, tylko jadł, pił i leżał, a w nagrodę czeka go nieskończona chwała. Cokolwiek to miało znaczyć.

– Mój panie – mruknął Anuka tuż za plecami Samrana. – Stoisz tu od odpływu i starsi zaczynają się niepokoić. Obawiają się o ciebie.

– A do czego jestem potrzebny w tej chwili starszym? Poczynili przygotowania, ceremonia została zaplanowana, a wieprzka zarżnięto. Nikomu nie wadzę, a muszę się dobrze przygotować przed podróżą.

– Boją się, że uciekniesz.

Samran prychnął z niedowierzania. Chudy chłopak o woskowej skórze wpatrywał się w niego, dumnie zadzierając kościsty podbródek. I to niby ma być jego następca? Pierwszy lepszy podmuch wiatru rzuci tym chuchrem w odmętę.

– Niby gdzie mam uciec? – Samran poklepał się po brzuchu. – Nigdzie się nie wybieram. Noszę na barkach odpowiedzialność za całe plemię.

– To mam im przekazać?

– Nic nie musisz im przekazywać, wrócę razem z tobą.

Anuka wzruszył ramionami i prędko zniknął w gąszczu, a Samran przeklął pod nosem i potruchtał za nim przez plażę. Na co ten cały pośpiech? Przecież wszyscy wiedzą, jak kończą uciekinierzy. Przywiązani do skał na płyciźnie umierają z głodu i pragnienia, gdy ptactwo wydziobuje im oczy, a on niespecjalnie kwapił się do takiego końca. Podróż przez nieskończony Eter, no na to by przystał. Szczególnie, że mógł sobie wcześniej nieźle podjeść, a i nie brakowało mu trunków.

Samran nigdy nie rozumiał uciekinierów. Bo i przed czym tu uciekać? Śmierć to przecież dopiero początek. Gdzież podział się ten chłopak? Jak tak dalej pójdzie, to Anuka nie przyniesie im chwały na niebie.

Szum fal rozpląnął się w koronach palm, ustępując miejsca dudnieniu bębnow. Dum-dum. Dumna pieśń nawoływała na świętą ucztę. Wilgotne paprocie zaszeleściły i wyłonił się z nich Anuka z szycerszym uśmiechem na twarzy. Odkąd Mat'ra wybrała następnego gwiazdnego żeglarza, chłopak zrobił się nieznośny. Już wcześniej zanudzał Samrana bezsensownymi pytaniami, a teraz jeszcze doszła do tego złośliwość!

– Musisz się pospieszyć, panie – stwierdził Anuka.

– Powinieneś pomagać mi w przeprawie! – Żeglarz pogroził mu pięścią. – Całe plemię czeka i dopilnuję... – Zatrzymał się, żeby nabrać tchu. – ... dopilnuję, żeby Locca o tym usłyszała.

– Kilka chwil nic nie zmienia, a poza tym byłoby całkiem zabawnie, gdybyś padł tutaj tuż przed ceremonią. Podobno świniak też zdechł z obżarstwa i dlatego uczta musi odbyć się dzisiaj. Pomyśl. Tak go tuczyl, że pękł.

Samran wytrzeszczył oczy. Jak on śmiał się tak do niego odzywać? Gniew rychło przegnał niedowierzenie.



– To Mat'ra decyduje, kiedy gwiazdny żeglarz musi opuścić port! A ty... zastanów się, po co mówisz takie rzeczy. Szacunek? Słyszałeś o tym?

Anuka odrywał pojedyncze listki paproci i rzucał je w Samrana, który z trudem nad sobą panował. Zazdrość! Dzieciak na pewno był zazdrosny.

– Tak, nasłuchiwałem się aż za dużo – mruknął chłopak. – Tradycja jest ważna, dlatego musimy dzisiaj zjeść wielkiego świniaka, który uratuje nas przed ciemnością.

# TĘCZOWA

zbiór opowiadań

OPOWIADANIA  
NIEHETERO-  
NORMATYWNE

LITERACKI  
ROLLERCOASTER

NIEZALEŻNI  
AUTORZY

ROMANSE

FANTASY

HUMOR

DZIESIĘĆ  
OPOWIADAŃ

RÓŻNE  
ODCIEŃIE  
MIŁOŚCI



e-book, wersja papierowa  
[www.samowydawcy.pl](http://www.samowydawcy.pl)

I wszystko stało się jasne. Biedny Anuka po prostu był przytłoczony odpowiedzialnością, która na niego czeka. Samran uznał, że powinien spróbować go zrozumieć, a nie od razu łąać. Przecież sam był kiedyś na jego miejscu, a Orochi wszystko cierpliwie mu wytłumaczył. Może gdyby przypomniał sobie którąś z lekcji poprzednika... Szkoda, że wcześniej nie poznał Anuki lepiej. Cóż, nie miał na to specjalnie ochoty.

– Świnia to symbol – podjął uroczyście Samran. – Obrasta tłuszczem jak gwiazdny żeglarz obrasta doświadczeniem i całe plemię jest świadkiem ich wzrostu.

W ustach Orochiego zabrzmiało to mądrzej.

– No tak, spasiony knur jada prawie tak dobrze jak gwiazdny żeglarz i wszyscy przyglądają się, jak nabiera sadła. Nieświadoma świnia żre z zapalem, a każdy kęs przybliża ją do śmierci. Żeglarz robi to samo. – Zmierzył Samrana wzrokiem i nie skrywał rozbawienia. – Z tym że ma tę świadomość. Ta irytująca jak kolec ostu jedna mała myśl. A jak wiele zmienia.

– Różnic jest znacznie więcej – odparł spokojnie, próbując przypomnieć sobie coś jeszcze z lekcji Orochiego. – Choćby zaczynając od tego, że my wypływamy w gwiazdną podróż, a świnia idzie na rożen.

Anuka coś mruknął i przyśpieszył kroku. Bębny dudniły tuż, tuż. Na wyspie Oka nic nie było daleko. Sprawnym tempem obchodziło się ją w jeden przyływ, a nawet nie trzeba było wspinać się na sam szczyt świątyni Mat'ry, żeby zobaczyć przeciwległe brzegi. Samran wpatrywał się w chude plecy chłopaka, a kwaśne wyrzuty sumienia drażniły go w żołądku. Zawalił sprawę. Anuka bez dwóch zdań był przerażony, a on skupił się na sobie. Znalazł w miarę szeroki pień i klapnął na niego z ulgą.

Chłopak oddalał się w gąszcz skąpany gwiazdnym blaskiem, a Samran zerknął na ocean. Podobno gdzieś tam istniały lądy, które ciągnęły się aż po horyzont, ale kto to wie? Wędrowcy gadali różne głupoty. A nawet jeśli faktycznie istniały, to co? Na co miał wiedzieć

coś, co nigdy do niczego mu się nie przyda? Orochi mówił, że pewnych rzeczy lepiej nie ruszać, a Samran w pełni się z nim zgadzał. Od takiego rozmyślania nic dobrego nikomu nie przyszło.

A może i Anuka miała trochę racji? Dziwne to było uczucie wiedzieć, kiedy dokładnie się umrze. Niby los gwiazdnych żeglarzy nie różnił się specjalnie od losu innych ludzi, w końcu każdego zabierze Eter, ale ta pewność miała w sobie coś niepokojącego. Wydawała się jakaś nienaturalna. Dużo lepiej było żyć jak świniak w zagrodzie.

– Panie!

Samran uśmiechnął się gorzko. Teraz „panie”. Anuka pewnie nie mógł wrócić do wioski bez niego, a on nigdzie się nie rusza, no... przynajmniej do czasu, kiedy nie wbije chłopakowi trochę rozumu do głowy. Jest to winien Orochiemu.

– Panie!

Głos Anuki przedarł się przez dudnienie bębnow obwieszczających ucztę. Samran czekał cierpliwie, kołysząc się na pieńku w przód i w tył. Wiatr łaskotał go w półnagie ciało, a przepaska biodrowa szeleściła cicho.

– Panie! – Anuka w końcu wrócił przez chaszczę i spoglądał ze złością na Samrana. – Uczta! Starsi czekają!

– Jak bardziej zgłodnieją, to potem będą jeść z większym zapalem.

Chłopak rozchylił usta, jakby chciał coś odpowiedzieć, ale zamarł i podszedł bliżej. Samran skinął zadowolony. Jeśli spotka Orochiego wśród gwiazd, przynajmniej będzie mógł powiedzieć, że próbował.

– Strach nie jest niczym złym – podjął. – To przez strach można docenić, że się naprawdę żyje.

Anuka zrobił oczy jak muszle węzokraba, ale się nie cofnął. Samran wziął to za dobry znak.

– Ja nieraz bałem się tak, że miałem ochotę uciec – ciągnął. – Nie mogłem spać, wymiotowałem ze strachu, nie chciałem jeść. – Poklepał się po przyzwoitym brzuchu. – Dalej nachodzą mnie takie myśli,

ale już nie tak często. Wiem, że ty też się boisz i pewnie sam chcesz uciec.

Anuka rozejrzał się nerwowo i oblizał wargi.

– Skąd taki pomysł? Widziałem truchła uciekinierów na płyciźnie.

– Jak na nich patrzyłeś, to pewnie się nad tym zastanawiałeś.

– Starsi...

– ...poczekają.

Samran westchnął. Gdy był na miejscu Anuki, liczył przynajmniej dziesięć lat więcej. Ostatnio Mat'ra wyprawiała ich w podróż coraz częściej.

– Czego chcesz? – warknął chłopak. – Już się nie ślinisz na świnie?

– Lubię, jak mięso skwierczy, i naprawdę cię rozumiem.

Wstał i położył Anuce dłoń na ramieniu. Ależ chłopak się trząsał, gorzej niż trzcina podczas sztormu.

– Ty? – prychnął i cofnął się z odrazą. – Ty, rozumiesz?

Samran podrapał się po głowie. Co powiedział mu wtedy Orochi? Poza biadoleniem o honorze i poświęceniu? Ach tak.

– Pewnie Mat'ra nie wybierze cię przez lata! Słyszałem o żeglarzach, którzy wypłynęli dopiero na starość.

Czyli najpóźniej po czterdziestce, ale tego nie trzeba było podkreślać. Anuka rozejrzał się i zagryzł zęby. Może zaczynanie od śmierci to nie był najlepszy pomysł.

– Już nigdy nie będziesz musiał łowić, tłusciutkie rybki zostaną tylko dla ciebie, a kobiety... – Mrugnął do chłopaka. – Każda chce otrzymać błogosławieństwo od samego żeglarza gwiazd.

Anuka wzdygnął się, jakby właśnie nadział się na jeżowca, a jego skroń pulsowała wściekle.

– Teraz zebrało ci się na rozmowę, tak? Jakże wygodnie zacząć rozmawiać o tym tuż przed ucztą! Dobrze, jestem cholernie ciekawy, co mi powiesz!

Samran uniósł brwi.

– Cóż...

– Nikt nigdy mnie nie pytał, czy chcę zostać żeglarzem gwiazd! Anuka zacisnęła kościste pięści i rozejrzała się nerwowo.

– Wyplłyniemy w Eter, tak? Będziemy żeglować przez gwiazdy w nieskończoność? A co się dzieje z tymi, których zabiera choroba albo starość? Rozpływają się w czerni! Nigdy ich nie zobaczymy!

Samran się roześmiał.

– Spójrz w górę! To nasi przodkowie oświetlają mrok i tylko ich przybywa! – Zbliżył twarz do twarzy Anuki i wskazał palcem na niebo. – Patrz tam! Tej gwiazdy nie było, zanim Orochi wyplłynął. Nawet teraz spogląda na nas ze swojej łodzi i wytycza bezpieczny kurs.

Anuka spuścił ramiona, a cały jego gniew zgasł.

– Nie rozumiesz, tak jak myślałem.

– A nawet jeśli rozplłyniemy się w Eterze... – Samran wzruszył ramionami – ...jaką to robi nam różnicę? I tak już nic nie będziemy czuli.

– Ale ja nie chcę... Ja nie chcę się rozplwąć.

Samran westchnął i ruszył do wioski, Anuka podążył za nim bez słowa. Gdy Orochi tłumaczył mu te kwestie, nie miał większych problemów ze zrozumieniem. Może powinien powiedzieć coś jeszcze, ale co tutaj mówić? Mat'ra wybiera gwiazdnych żeglarzy przy narodzinach, a ci następnie czekają na swoją kolej, żeby rozświetlać czerń nieba. Bez nich Oko i cały archipelag pochłonęłaby ciemność. A tego przecież nikt nie chciał. Samran kilka razy w życiu widział prawdziwy mrok podczas potężnych sztormów i nawet samo wspomnienie było dostatecznie przerażające. Woda leje się ze wszystkich stron i nie widać czubka nosa. Choć, jak się nad tym zastanowić, to w zasadzie nigdy nie widać czubka nosa.

Do bębnow dołączyły pieśni współplemieńców. Dotarli na rozległą polanę leniwie wznoszącą się ku górze. Ciepłe złoto ognia łączyło się z zimnym srebrem gwiazd. Nad potężnym ogniskiem wolno smażył się tłusty wieprzek. Samran poczuł, jak burczy mu w brzuchu, i klepnął bladego Anukę w plecy.

– Dzisiaj świętujemy, a uczta na cześć Mat’ry nie może być smutna. To może przyniesie mi pecha, gdy będę odpływać.

Anuka pokiwał głową bez przekonania. Gdy zbliżyli się do ognia, Samran rozchylił ramiona, a ludzie ryknęli na jego widok.

– Gwiazdny żeglarz przybył!

– Mat’ra wiedziała, że wrócisz.

– A dokąd miałbym pójść? – odkrzyknął. – Nie opuszczę was w potrzebie!

Przywitał się ze starszymi i zajął honorowe miejsce przy ognisku. Nie minęła chwila, a otrzymał swoją porcję. Ociekający skwierczącym tłuszczem spieczony kawał wieprzka hodowanego specjalnie dla niego. Samran poklepał się po brzuchu, bębny przycichły i całe plemię zamarło. Podobał mu się ten moment.

– Niech gwiazdy was prowadzą! – krzyknął i rzucili się na jedzenie.

Na tym kończyła się jego rola, ale nie zamierzał narzekać. Kilka prostych słów i władza prysła. Po uczcie wejdzie na świętą górę do świątyni i odpłynie do swoich braci, by przez wieki żeglować po niebie. I tak do końca świata. Wgryzł się w słodziutkie mięsko i żuł długo. Ciekawe, czy na srebrnej tratwie będzie miał jakąś strawę? Orochi nigdy o tym nie wspominał, a każdy żeglarz musi w końcu się napić i coś zjeść. Z drugiej strony martwi nie są specjalnie łakomi, ale on niby nie umrze. *Mat’ra pochłonie twoje ciało, ale dusza przeżyje, by płynąć przez czarne odmęty nieskończoności.* Słowa Orochiego na pewno były ładne, ale niewiele z nich wynikało.

Wypił kubek sfermentowanego kokosa, a Anuka szybko nalał mu kolejny. Samran obgryzł kostkę i wrzucił do ognia. Może dlatego ta uczta była taka ważna. Żeby porządnie się najeść przed długą wyprawą. „Nieskończoność”. Hmm, czyli ile dokładnie? Zaparł się dłońmi w piachu i zerknął ponad wioskowe chaty. Na samym szczycie góry lśniła świątynia Mat’ry, niemal w całości zbudowana z kości żeglarzy gwiazd. Dziesiątek? Setek? Nieskończoność to pewnie coś koło tego.



Trącił dłonią kubek, a Anuka zdążył go chwycić, zanim trunek rozlał się na piach. To byłby pech.

Szamanka Locca klapnęła tuż obok niego.

– Samran! Cieszę się, że święta Mat’ra wybrała właśnie ciebie.

Gwiazdny żeglarz wzruszył ramionami.

– Jak nie ja, to ktoś inny.

– Mądre słowa, panie, ale ostatnio potrzebujemy silnych ludzi.

Mat’ra mówi, że zbliżają się złe czasy.

Dwóch młodszych szamanów przysłuchujących się rozmowie pokręciło głowami i powtórzyło:

– Złe czasy.

Samran przez moment rozważał, czy nie warto zapytać szamanki o kwestie ewentualnych zapasów na gwiazdnej tratwie, ale zrezygnował. Pewnie mu o tym mówili, ale zapomniał. Dopił kolejny kubek i beznamyślnie przyglądał się, jak Anuka na nowo go wypełnia. No właśnie, chłopak! Przydałoby się, żeby się na nim skupił. Powinien go lepiej przygotować do roli żeglarza. Przeplukał gardło i odchrząknął.

– Anuka, chodź no tutaj. – Poklepał piasek obok i machnął na szamankę, która niechętnie zebrała się z ziemi. – Niedługo będziesz musiał poradzić sobie sam, ale wiem, że ci się uda.

Chłopak usiadł skrzyżnię i wlepił spojrzenie w ogień. Samran nie widział w nim wściekłości z wcześniej, tylko pustkę. To dobrze, puste można napełnić.

– Wyniosłeś coś z naszej rozmowy?

– Tak. Życie jest trudne, a ja powinienem być wdzięczny za to, co mam.

– Na naszych barkach... – Samran poklepał się po ramionach, żeby nie pozostawić żadnych wątpliwości – ...spoczywa odpowiedzialność za całe plemię. Mat’ra nie wybiera byle kogo. Jesteśmy naszczani od samych urodzin.

– Nasz... Namaszczeni?

– A co mówię?



Samran wychylił kolejny kubek, a świat zawirował. Ludzie zlepiali się i rozszczepiali, tatuaże płynęły w rytm muzyki, bębny drżały, spocona skóra falowała jak pomarszczony ocean. Ognisko strzelało pióropuszem iskier ku niebu, cienie tonęły poza pierścieniem światła, niknąc w mroku. Żeglarz padł na suchy piach i rozdziawił usta. Gwiezdny piach sypał się prosto na niego, a on kołysał się na boki.

– Nie powinieneś więcej pić – mruknął Anuka. – Musisz wejść jeszcze na górę.

– Dołączę do nich! – wydarł się i wyciągnął ręce. – Będę pływać po niebie!

Bębny przedarły się przez gwar serią grzmotów. Tum-tum-tum! Samran zamknął oczy i splótł dłonie na brzuchu. To dla niego grają! Pieśń gwiazdnego żeglarza! Muzyka godna bohatera! Pora wypełnić obowiązek... tylko całkiem przyjemnie mu się tutaj leżało. Może jak trochę sobie przyśnie, to o nim zapomną i pójdą po kolejnego. Anuce nigdy nic nie pasowało, więc im szybciej dzieciak wypłynie, tym lepiej będzie dla wszystkich.

Ktoś go szturchnął, a Samran prychnął. Mierny podmuch żalostnego wiatru nie obali potężnej łodzi. Ktoś nim potrząsnął. Nie ściągnie żagli. Nic go do tego nie zmusi! Chwycili go za przeguby dłoni i ciągnęli. Nie utonie! Ma zadanie do wykonania! Otworzył oczy i warknął:

– Puszczajcie! Jestem gwiazdnym żeglarzem i oświetlam czerń swoim blaskiem!

– I pora wypłynąć z portu, panie. – Locca włożyła mu coś na głowę. – Ale najpierw... błogosławieństwo.

Bębny trzasnęły, a Samran się otrząsnął. Pośród rozmazanej masy ludzi wypatrzył Anukę, który ponuro się uśmiechał. Dwie szamaniki prowadziły go pod górę, Locca szła za nim, snując rzewną pieśń, a jego następcą otwierał pochód. Samran zerknął za siebie. Cała wioska powstała, by posłać mu ostatnie spojrzenie. Nikt się nie odzywał, wszyscy tylko się gapili. Poruszył się nerwowo, ale szamani trzymali go mocno.

– Pora wypłynąć – szepnął mu do ucha jeden.

Mocne palce zaciskały się na jego grubych przedramionach, a gdy tylko zatrzymywał się na moment, Locca dźgała go ostrym kijem w plecy. Kija nie było, kiedy Orochi wypływał. A może był? Samran nie mógł sobie przypomnieć.

– Jeszcze chwilka, panie, jeszcze chwilka.

Samran z trudem włókł się pod górę, ale bardzo chciał, żeby ta chwila trwała jak najdłużej. Przynajmniej Anuka go rozumiał i nie narzucał morderczego tempa. Wbite po obu stronach wydeptanej ścieżki pochodnie jarzyły się słabym blaskiem, a gwiazdy zalewały świątynię kaskadą srebra. Usypany stos niezliczonych kości tkwił w bezruchu. Samran zerknął za siebie. Nawet teraz dobrze widział bladą masę współplemieńców przystrojonych niebieskimi tatuażami. Wskazywali go palcami i coś pokrzykiwali. Zanim im się dobrze przyjrzał, Locca dźgnęła go w plecy.

– Mat’ra! – szepnął Anuka i padł na kolana.

– Mat’ra – syknęli szamani, kłaniając się głęboko.

– Mhm – wybełkotał Samran, krzywiąc się od odoru zgnilizny.

Pośrodku usypanego z kości kopca siedziała istota, która miała wyprawić go w podróż po niebie. Ostatni raz był w świątyni... w zasadzie to nie pamiętał tego za dobrze. Gdy odprowadzał tu Orochiego, ślaniał się na nogach, a później... Cóż, mógł bez trudu wymienić dziesiątki innych miejsc na wyspie, które wołał od góry śmierdzących trupów. Locca trzasnęła go laską w nogę i żeglarz upadł ciężko.

Mat’ra, przypominająca kolosalnego ślimaka z żabim łbem, prześlizgnęła wyłupiastymi oczami po przybyłych i poruszyła się niemrawo. Lawina kostek ogołoconych z resztek mięsa posypała się z imponującego kopca, a Samran wstrzymał oddech. Przyjemny sztorm sfermentowanego kokosa przycichł, a zatopione myśli wyrwały się z głębin. Gdyby tak zerwał się teraz, to pewnie zdążyłby uciec. Święty żaból nie wyglądał na specjalnie żwawego.

– Czcigodna! – zapięła Locca i rozchyliła ogromne ramiona. – Po-  
kornie składamy ci w ofierze namaszczonego twoim znakiem. Wy-  
praw go w podróż i niechaj gwiazdy nigdy nie zgasną.

– Nigdy nie zgasną – dołączyli się pozostali szamani.

Samran całą tę gadkę o gwiazdach słyszał nie raz, nie dwa, ale znacznie bardziej wolał wersję o wyplnięciu na niebo, a nie frag-  
ment o składaniu w ofierze. Anuka nie spuszczał z niego wzroku,  
a trzech szamani bełkotali jakieś niezrozumiałe modły. Mat'ra koleba-  
ła się na boki, obracając wyłupiastymi oczami. Samran poczuł, jak  
bardzo zachciało mu się łać. Kubki kokosa wchodziły łatwo, a on od-  
uczył ani razu nie poszedł w krzaki. Tak, odejdzie na bok i zniknie  
w chaszczach. Może chłopak zajmie jego miejsce, a on pożyje sobie

## ŚLADY NA ŚNIEGU

zbiór opowiadań

OSIEM GATUNKÓW  
LITERACKICH

LITERACKI  
ROLLERCOASTER

NIEZALEŻNI  
AUTORZY

HISTORYCZNE  
I KRYMINAŁ

FANTASY, SF ORAZ  
Z DRESZCZYKIEM

ODWAŻNE  
POMYSŁY

DWANAŚCIE  
OPOWIADEK

OBYCZAJ  
I ROMANSE



ebook, wersja papierowa  
[www.samowydawcy.pl](http://www.samowydawcy.pl)

jeszcze trochę. Odchrząknął, ale nikt nie zwrócił na niego uwagi. Jedynie Anuka zdawał się uśmiechać.

– Ekhem – podjął Samran, wstając. – Nie chciałbym wam tutaj napaskudzić.

– Siadaj! – skrzeknęła Locca, gramoląc się powoli z ziemi.

Żeglarz się odwrócił i tylko kątem oka widział, jak Anuka idzie w jego kierunku. Dobrze, pewno chłopakowi też nie było po drodze wylądować w brzuchu tej maskary. Był w końcu dosyć młody... Rozgrzane macki objęły cały kark i rozlały się po łopatkach Samrana, który zdołał jedynie kwiknąć, gdy potężny cios obalił go na kanciasty dywan ze szczątków poprzedników. Anuka stał nad nim z kosturem Locci w dłoni i trzasnął go w bok. Łup. Łup. Fałdy skóry falowały, gdy ból wypalał Samrana od środka.

– Przestań! – pisnął. – Przestań!

Do żaru od uderzeń w tors dołączyła ciepła wilgoć łaskocząca go w obwisłe uda.

– Mat’ra czeka, panie – uśmiechnął się Anuka. – Pora wypłynąć i świecić na niebie.

Samran nie miał nawet siły się obrócić na bok. Dyszał ciężko i wdychał smród zgnilizny okraszony kwasem moczu. Ocean kości poruszył się niespokojnie, a Mat’ra podpełzła tuż obok. Anuka trzasnął go kijem ostatni raz, choć gwiazdny żeglarz jedynie drżał, sapiąc i kwiląc naprzemiennie. Nie miał ochoty ani odwagi spojrzeć w oczy istoty, która podniosła go gumowatym jęzorem i wcisnęła sobie do gęby. Ostatnią rzeczą, którą ujrzał, przed udaniem się w podróż, były egzaltowane twarze szamanów i wykrzywione w pogardzie oblicze Anuki.



**Adam Sołtys** – prawnik z wykształcenia, miłośnik fantastyki, kotów i planszówek. Pracuje nad debiutancką powieścią w klimacie *dark fantasy*. Po godzinach Miejski\_czarodziej w social mediach.

# Głos wśród gwiazd

Anna Wroclawska

Rozsypałeś gwiazdy  
Na ogromnym niebie  
Drogowskaz mój  
Prowadziłeś mnie za rękę  
Mleczną drogą w dal  
Słuchałam twego głosu  
Co omamił mnie  
Jak syreny w głębinie  
Żeglarzy z dawnych lat  
Gwiazdy odbite w morzu  
Gwiazdy na firmamencie  
Zgubiłam cię  
Zgubiłam się  
Wzeszło słońce  
Gwiazdy zgasły  
W oddali milknie twój głos



**Anna Wroclawska** – psycholog, bibliofil autorka powieści Grecka widowówka i Szepty zatoki, tomików Cię motyla i Greckie wspomnienie oraz książek z zakresu dogoterapii i bajkoterapii Kraina bajek, Jak pies wpływa na rozwój dziecka? Twórcza dogoterapia.

# Istny kosmos!

Małgorzata Poręba

Miał tak kosmiczne problemy, że postanowił wystrzelić się w kosmos.

Nie było to trudne – wynajął na tydzień raketę firmy *Cosmic Time For Your Emptiness*, jedną z najtańszych, małą i nieco chybotliwą, tak jak on.

Lot przebiegł z zakłóceniami, turbulencje wstrząsnęły nim nie mniej niż życie. Do przestrzeni kosmicznej dotarł jednak cały i niezdrowy (zdrowia nie miał od dawna). To miejsce z dala od Ziemi było jego prawdziwą ziemią obiecaną. Cisza, piękno, bezkres – nic, tylko dryfować z głową w chmurach, a raczej gwiazdach. Po prostu kosmos!

Tutaj nie oszukiwał siebie i innych, że nie jest samotny, bo był, co do zasady. Tutaj nikt nie mógł usłyszeć, jak wyje do księżyca. Tutaj nie musiał udawać nawet, że podoba mu się atmosfera, bo wcale jej wokół nie było.

Pozostał tylko on i myśli, czyli jego odwieczny wróg, który pochłaniał go niczym czarna dziura. Nie cierpiał myśleć. Ale, i na to miał radę – wyjął z kieszeni podręczny wyciszacz myśli marki *Don't you think* i włożył dyskretnie do ucha. Dopiero teraz poczuł, że jego kosmiczne problemy są wyjątkowo przyziemne i nie wymagają wielogodzinnych rozważań, które wysysają resztki witalności.

Dryfował więc beztrudnie w pozaziemskiej próżni, opróżniając nieziemsko dobry koktajl. Och, jak wspaniale się czuł! To były jego najlepsze chwile w życiu.

Spokój został jednak zaburzony trzeciego dnia, gdy zauważył wielki odpadek satelity pędzący prosto na niego. Zaśmiał się wesoło. To był dopiero kosmiczny problem!

Instrukcja nakazywała gwałtowny skręt w prawo i wyzbycie się ewentualnych myśli samobójczych, uszczerbku dozna bowiem nie



tylko pasażer, ale i rakieta oraz sama firma *Cosmic Time For Your Emptiness*.

No to wykonał gwałtowny skręt, tyle że w lewo, ot tak, dla zabawy, ciekaw, co się stanie. Uniknął odłamka, lecz nie uniknął konsekwencji.

– Zgodnie z instrukcją nie miał pan prawa skrócić w lewo, proszę pana – usłyszał zaraz stanowczy głos rozsądku z komunikatora. – Proszę natychmiast wrócić na Ziemię, inaczej zapłaci pan odszkodowanie.

– Przepraszam, eee, to koktajl, to znaczy... on mi umysł zaćmił, ale ja, tego, no, już myślę racjonalnie, przysięgam – wybełkotał, nie myśląc racjonalnie.

– Skandal! Proszę natychmiast wyjąć wyciszacz z ucha, proszę pana, to urządzenie jest w kosmosie zabronione! – Głos rozsądku był oburzony.

Wyjął więc urządzenie z bólem serca i głowy, zły, że tak łatwo dał się przyłapać. Po chwili głos rozsądku westchnął ciężko i oznajmił:

– Musi pan stąpać twardo po ziemi, proszę pana, nawet w kosmosie, niezależnie od tego, jak bardzo kosmiczne problemy pana dotyczą. Wyciszacz nie jest rozwiązaniem. Jeżeli nie zaufa pan sobie, kto będzie za pana myślał – kosmita? Proszę na siebie uważać, proszę pana. Proszę nie używać więcej wyciszacza, inaczej pana uziemimy. Życzę miłego dalszego pobytu w kosmosie, proszę pana.

Głos rozsądku z komunikatora tak ładnie prosił, że postanowił go posłuchać i znów zaczął myśleć. Bez wyciszacza gwiazdny urlop stracił na wartości, a przyziemne problemy ponownie stały się kosmiczne. Uznał jednak, że to wytrzyma.

Tyle że czwartego dnia do szyby rakiety zapukał kosmita. Miał ciało niebieskie i oczy jak dwa Jowisze.

– Mogę za pana myśleć – zaproponował grzecznie. – Ale już nigdy nie wróci pan na Ziemię. Ma pan trzy dni, by przemyśleć moją propozycję. Jeśli się pan zgodzi...



– Zgadzam się – odparł zaraz. Zanim zdążył się rozmyślić, zniszczył komunikator, a wraz z nim głos rozsądku.

– To było dość... bezmyślne – przyznał kosmita.

Podziękował mu za komplement i zaprosił do rakiety.

Plotki głoszą, że do dziś krąży z myślącym za niego kosmitą po kosmosie, z dala od nierozwiązanych kosmicznych problemów, z radosną głową wolną od zmartwień, marząc jedynie o tym, by dotrzeć z motyką na Księżyc – ale na szczęście nie jemu o tym decydować.



**Małgorzata Poręba** – ukończyła studia pisarskie na UŚ. Prowadzi stronę internetową z blogiem, prozą i poezją – [pisarzowiczka.pl](http://pisarzowiczka.pl) – oraz poetyckie konto na Instagramie: [@wierszykowniaa](https://www.instagram.com/@wierszykowniaa). Aktualnie pracuje w marketingu internetowym jako content creator.

# Olcha z Wilczej Doliny

Rozdział VIII Potwór z jeziora

Agata Kasiak

Długo ciągnięto na spytki Miestwina po znalezieniu tamtych zwłok. Ale chłopak zaklinał się na wciąż, że truchło wyrzucił mu z jeziora przerębłem jakiś utopiec o wielkich zębiskach. I niczego więcej nie wiedział.

Lubomijskiego śledczego nieco zdziwiło, że wiedźma wzbrania się przed zaczekaniem z ciałopaleniem.

– Nie ma pełni – podszeptował staruszce na stronie – a ów... Nawoj...

– Młody.

– Ów Młody... zdaje się zdolny ożyć, jak wcześniej nasz utopiec. Mógłby wyjawic swe sekrety. Nie sądzisz, pani? Jakby go tak przetrzymać...?

– Nie. – Była stanowcza. – Nieciekawam jego sekretów. Człek ten niemało zalazł mi za skórę. Rada będę spopielić go i nigdy więcej nie oglądać tej fałszywej mordy.

– Aż tak ci dopiekł, pani?

– Taaak. Dopiekł. Przezeń jestem, gdzie jest. Ja...

– Tak?

– Ech. Wiedli mnie tu, jakem ci kiedyś mówiła, Młody wespół z czarnymi, duszanieckimi rycerzami. Rzekomo jakiś wróż wskazał mnie na ofiarę dla czegoś w tych górach.

– Sądząc po tym, co tu i ówdzie dało się poznać, w kurhanie tkwiła żona króla Wilkomira. A po wyrosłej na jej krwi tej dziwnej wierzbie, że właśnie u stóp wodospadu owa kobieta zginęła. Część jej duszy została w grobie, ale część...

– Część jest we mnie. Tak. Nie wiem, czy był jakikolwiek wróż, czy tamci wtedy sami wybrali mnie na ofiarę. Ale widzi mi się, że ONA

była Młodemu bardzo bliska. Wspomniał, pamiętam, jak dziś, że owa pani nie chce brzemiennie, jak tamci myśleli, a właśnie bezpłodnej, która zna wieloletnie pragnienie dziecka.

– Albo utratę.

– Albo utratę. Tak. To podobny stan.

– Cokolwiek spotkało marę, zrodziło się z jakiejś tragedii tyczącej się dziecka albo dzieci. No i Wilkomira.

– Tak. A Młody rzekł jeszcze do mnie wtedy, że zdradził swego króla Wilkomira, bo ten zaprzedał się złym bogom i czynił zło.

– Skoro Nawoj taką słabość miał do NIEJ, możliwe, że zdradził z zażdrości o królową.

– Tak czy siak... Mogę zwyczajnie, dziecinko, nie chcieć go już spotkać?

Zmitygował się na prawdziwy żal staruszki.

– Tak, pani. Oczywiście – odparł. – Nie potrzebny nam więcej. Dość już złych stworów na świecie, by jeszcze zmarłych podtrzymywać.

– Ja – westchnęła – tamtej pamiętnej jesieni widziałam jego obraz odbity na w żrenicy martwego Brzóska.

– O. Nie wspominałaś o tym, pani.

– Nie. Bom myślała, że miałam zwidy, że obraz tej twarzy prześladowuje mnie od setek lat. Ale teraz... Zbyt żem zdziwiona, że otom ujrzała Młodego... Nawoja... tak po prostu. Co ów czynił tu przez tyle lat? Pojmujesz ty?

– Nie. I takich dziwów w całym świecie nie widziałem. Aż po Nადalię za Wielkim Murem.

– No właśnie. – Westchnęła. – Czas już nań. Nie sądzisz?

– Tak. W tej dolinie ze wszech miar za dużo żywych po śmierci.

Jak orzekli, tak nakazali – spopielić Nawoja. Ludzie we wsi przyjęli opowiastkę o tym, że człowiek znany był wiedźmie z mokradeł i widocznie w wodę wpadł na jesieni. Uszykowano mu stos i wyniesiono miody. Wszak kto by nie był, człek zasługiwał na godne uczczenie śmierci.

– Te wody mają moc trzymać w słonych objęciach potwory wszelakie – rzekła na koniec Olcha do swoich wilkarów, gdy obserwowali ludzi gromadzących się wokół szykowanego stosu. – Nawoja nawet nasze jezioro widno miało już dosyć.

I wtedy okazało się, że...

– Pani! Zwłoki uciekły hań, w las!

Wydyszane słowa grupki chłopów zatrzymały czas w osadzie. Ludzie, z wiedźmą na czele utknęli w chwili. Zastygli z miodami przy ustach.

– No bo to było tak... – zięć Radzima opanował nieco rozszalały oddech. Podrapał się po jasnowłosej głowie. – No my se siedzim, on se leży, tam przy wale. – Wskazał miejsce, do którego oto z nim ruszyli, a którym był wewnętrzny plac na uboczu osady od strony furty w jezioro. – No i ten stos żeśmy układali, o ten tu. – Znow wszyscy poszli za jego wzrokiem, obrzucając spojrzeniami konstrukcję drewna, którą i tak każdy wcześniej widział już, że jest ułożona. – A żeśmy się natrudzili, nastękali. I mówię do chłopaków: „Odsapnijmyż nieco, toż umarłak nie ucieknie. I tak już inne se miodu nie żałują, a my harujem, jako te przygłupie!” Na to mi rzekli: „A no, toż umarłak nie ucieknie, w rzeczy samej!” Nawet takeśmy się zaśmiali naówczas... nieroztropnie.

– No nieroztropnie, oj! – Kompani pokiwali głowami cierpiętniczo.

– Co było dalej? – pospieszyła wiedźma zdawkowo.

– No i... tego... pilimy – wrócił do sprawy zięć Radzima. – I wnet jużemy mieli kończyć i po niego pójść. Zawinąć, przyszykować. Idziem, patrzym, a tu chłopa ni śladu! Tylko stopy odcisnięte w śniegu i błocie. Zdaje się, że hań uszedł! – Machnął ręką w stronę furty, dróżki wzdłuż jeziora i mającego w oddali lasu.

– Widzieliście go jak bieży? – Wiedźma zmrużyła ślepką.

Ale zaprzeczyli niemrawo.

Odsapnęła. Wymieniła spojrzenia ze swoimi wilkarami.

– Ślady widno nie jego – skłamała. – Ktoś wykraść ciało musiał. Wynieść.

Strwożyli się wieśniacy i oburzyli.

– Któż śmiałyby?! – jęli wściekać się między sobą.

Lubomijski śledczy otrząsnął się pierwszy, z nim Wilko.

– Lecimy szukać, pani! – Działali szybko i przytomnie. – Daleko nie uszedł... Yyy, ten złodziej zwłok.

Do samej nocy kto mógł, pomagał w znalezieniu. Lecz, mimo starań, nawet Dioris i Wilko wrócili do wsi z niczym.

– Nawojowy trup przepadł, pani – wysapali ostatni właśnie oni do wieźmy, schodząc z poszukiwań tuż przed północą. – Ślady prowadziły w śniegu i błotach ku polom, ale wnet znikły, zupełnie jak za sprawą jakichś mocy. Nigdzie więcej tropu. Nawoj przepadł, pani, niczym kamień w wodę.

– W wodę, mówicie... – Zasępiła się.

Było już po zmierzchu. Olcha nie chciała, by ktoś spostrzegł jej wymknięcie się ku tylnej furcie prowadzącej nad jezioro. Oglądała się, raz po raz zasłaniała kapturem oblicze. Ale po przejściu poza wał osady, zrzuciła kozuch. Omiotła wzrokiem zimowy krajobraz rozległego jeziora. Wściekłość za los i uczynki Młodego dodała jej sił. I mocy, którą już czuła w sobie. Nowej siły, niszczącej, pełnej furii, wręcz krwiozerczej. Choć tak naprawdę w dziwny sposób znajomej.

– No, latawico, pokaż, co potrafisz – zamruczała. – Wiem, czym żeś jest... Prowadźże. Pokaż, gdzieś zgubiła swój świat.

Kilka kroków wykonała prosto ku brzegowi. Szła zaś tak zamaszycie i swobodnie, że aż zimowa, mięsista suknia furgotała u jej stóp, a rąbek wzbijał śnieg pod nogi.

– Człowiek kiedyś był młody, jeszcze wcale nie tak dawno, co ino to tylko w NIA się przyoblekał! – dodawała sobie animuszu, po czym jęła rozsznurowywać odzienie. – Terazem tak zdiadziała, mocy nie używam. A w imię czego?! Sama siebie pytam!

Chłód mrozu owiał skórę, ale już nie tak bezbronną. Olcha uniosła przedramiona oblekające się gęstniejącym, wilczym futrem. Zaśmiała się ochoczo. Śmiech przeszedł w groteskowy pomruk. Zaś usta straciły moc wymawiania słów. Wzrok zmienił się, poznała. Szybko opanowała patrzenie szerzej rozstawionymi ślepiami. Przekrzywiła łeb. Był już zresztą znacznie wyżej i dalej widziała w sine pustkowie. Lepiej słyszała. Nastawiła uszu.

Wilczy głos, który wychwyciła, należał do minionych. Dołączyły doń nowe. Wkrótce cała wataha w osadzie wyła żałobnie.

Olcha znała tę melodię. Od zamierzchłych czasów trwała w takim brzmieniu. Powiało zapachem dawnych wieków, kiedy jeszcze świat często słyszał wilkarskie zawodzenie. Zwłaszcza tę dobrze pamiętała – zwała się Pieśnią Białego Wilka. Raz wzbijały ją w przestrzeń dawne watahy, raz śpiewali czarni rycerze.

Olcha potrząsnęła łbem. Wycie przechodziło w melodię, to znów wracało pierwotnym, krwiożerczym brzmieniem. Ta mocniejsza barwa szczególnie napędzała ciało.

Wiedźma była gotowa. Schyliła się i gwałtownie wbiła palce w lód. Te rozorały tafle i rozrastały się, aż wielkie szpony rozsadziły wszelką zmarzlinę. Szczelina była potężna i szła w głąb jeziora. Jęk łamanego lodu splótł się z wilczą pieśnią. Trzeszczenie, a potem głuchy huk odbił się echem od górskich masywów. Lód jeziora ostatecznie pękł, rozłupany dokąd sięgał wzrok.

Bestia rozpędziła się wzdłuż szczeliny, w kilka prężnych susów osiągając pęd równy najsroższym wiatrom.

Znalazła dogodne miejsce. Tam wybiła się w powietrze, aż pazury masywnych łap znów pokaleczyły lodowisko. Po czym z całym impetem runęła w odsłoniętą wodę. I z siłą pocisku największych balist Olcha z JEJ mocą wpadła w zaskoczoną topiel.

W nocy każde z przyjaciół miało koszmarne sen. Wilkowi śnił się tłusty Żabi Król zagrzebany na zimę w mulę na dnie jeziora. Miał wyłupia-  
ste ślepie i na koniec nocnej mary gwałtownie poruszył się, zmącił  
topiel, po czym wynurzył się spomiędzy wodorostów jako gigantycz-  
na mątwą. Rozdziawił upstrzony ostrymi zębiskami pysk i skoczył. Aż  
wilkar zbudził się niemal z krzykiem.

– Niech to... Alem śnił – wysapał.

Zbudzony Dioris uniósł powiekę.

– Wybacz, że ci przerwałem spanie – szeptał Wilko, łapiąc się za  
głowę. Myślał chwilę zachłannie. Wracając śnione obrazy. – Powiedz –  
poprosił cicho – tak pokrótce... Co Sol pokazał ci pod wodą? Wtedy  
nocą, na jeziorze.

– Jakem mówił: muł, wodorosty... i podwodne miasto. Utwardzane  
drogi... Zatopiony zamek.

– A... wielka żaba?

– Co? – Dioris zarechotał sennie. Ziewnął przeciągle. – Nie, żadnej  
żaby.

– Żabiego Króla.

– Żadnego.

– Ani zębiastej mątwy?

Rycerz czuł, że gadka z druhem po nocy nie pomoże we śnie  
żadnemu.

– Nie – spoważniał – żadnych wodników, czy innych demonicz-  
nych paskudztw.

Wilko odetchnął. Pokokosił się potem i niemal od przyłożenia gło-  
wy do snu odpadł.

Ledwo zwierzył się Diorisowi, tak koszmar przeszedł na tego. Tyle,  
że miast Żabiego Króla zmieniającego się w żarłoczną mątwę, był  
Rybi Król o kształcie ogromnego suma, sennie kołysany wodami  
jeziora między trawą morską. Każde poruszenie płetw wywoływało  
dreszcze w śpiącym rycerzu, aż ostatecznie ich drgnienie wybudziło go  
z krzykiem.



– Nożesz... – Rycerz zapamiętałe potarł oczy. – Kurewsko przerażające machanie płetw... Głupota... Wodnik jakiś...

Ale do rana nie zasnął, wierząc się niecierpliwie.

Za to Sol spał spokojnie i bez drgnienia. Zupełnie, jakby jego mara nie wzięła w swe objęcia. Tymczasem miał najgorszy, wracający od setek lat koszmar. Najstraszniejszy, bo odzwierciedlający rzeczywiste wydarzenia.

Kobieta ze snu nie była rusałką. Nie była też żadną inną wodną panną. Zdawałaby się może syreną, gdyby wzbijane w wodzie wiry nie odsłaniały czasem ludzkich nóg.

Sol ją znał. Niemal co noc usiłował dogonić i ocalić. Potem z odmętów wyłaniało się miasto, brukowana droga wiodąca do zamku, wzdłuż niej szpaler kamiennych posągów w kształcie wielkich wilków. Z zamkowej bramy powyżej wypadła wtedy bestia. I rzucała się w pogoń za chłopakiem.

Było ciemno, coraz mniej tchu w płucach. Natłok świata dusił swą gęstością, a do powierzchni nie było szans dopłynąć.

Wtedy góra rozstępowała się, a on wpadał w nią. Uciekał, a jakby stał w miejscu. Jak w najgorszych koszmarach – gdyby to tylko był sen.

Na końcu przełęcz górskiej rośło drzewo. Tam go powiesili. I tam poczuł zatapiające się w ciele kły...

– Nie śpisz? – Sol rozpoznał przyjazny głos Diorisa. Zwrócił nań wzrok. A że dniało, mógł dostrzec rozbudzoną, nieco sfatygowaną źle przespaną nocą twarz.

– Na szczęście już nie – odparł smutno. I odwzajemnił życzliwy uśmiech.

– Marzę, by jeszcze zmrużyć oko. Oby bez koszmarów. Przyłożyli głowy do snu. Ten przyszedł wnet łaskawie.

Nawet nie spostrzegli, że wiedźmy nie było w pośnaniu...

Im głębiej płynęła, tym wody jeziora stawały się mętniejsze. Światło dnia i życia nikło, ciemności martwoty czyniły oczy niemal zbędnymi. Olcha wytraciła pęd spadania w topiel, potrzebując nadać ciału bestii bardziej świadomego podążania. Płynęła więc w dół, z coraz większą trudnością przeciwstawiając się sile wypierającej na powierzchnię.

I nagle wszystko się urwało. Nozdrza bestii owionął znajomy zapach minionych wieków. Nastąpiła biel i ciało upadło na litą, jakby śniegową powierzchnię.

Olcha ocknęła się ze zgrozą. Była w zimowej dolinie, ale pozbawionej nieba. Miejsce to samo, poznała po górskich szczytach. To samo, a jednak... I ten brak nieba – przerażający, duszący. Czuli, że ONA wyglądała go i tęskniła za nim. Zaś siła tej tęsknoty była wręcz obezwładniająca!

*Oddajcie mi moje niebo!* – jęknęła w sobie spleciona z NIĄ Olcha.

Wtedy na skraju nicości ponad głową ujrzała wschodzącą, krwistoczerwoną gwiazdę. Zastygła, urzeczona.

*Więc to jest wasze niebo. Niebo utopków* – pomyślała.

Zebrała się. Ruszyła białym pustkowiem. Ową połąć wzięła za śnieg, lód może. Wytężywszy wzrok, dostrzegła nawet wystające z niej, niczym z zasp, ręce, nogi, głowy. Ale też szpony i wilkołacze pyski. Wszystko należało do rycerzy.

*Bitwa jakaś* – starała się zrozumieć, czym pobojuwisko było.

Wtedy otarła pysk ciekawie. Poczuli słony smak.

Zdumiona, uklękła, dotknęła i posmakowała owego białego podłoża. Nie było śniegiem, czy lodem, a solą.

*Morze przyszło i zabrało bestie* – powtórzyła w myślach coś, ani nie pamiętała, gdzie usłyszała dokładnie taki przekaz.

Tymczasem w podwodnej dolinie coś się zaczynało. Z bezkresu zapomnienia wyłonił się ten sam wilczy śpiew. Zawtórowały mu ryki czegoś, co dobrze pamiętała... To bestie wyły, dokładnie tak, jak w noc, gdy przywieźli ją w Góry Północy. Zbliżały się. Serce Olchy

przyspieszyło. W topieli słyszała je wyraźniej, jakby zza grobu. Miała wrażenie, że uderzenia wywołują drgnienie wód, za nimi zaś rozchodzące się po minionym świecie fale. W umyśle zadudniło. Bicie serca zawtórowało jakimś potężnym bębnom. Z tego wyłonił się on.

Olcha nie dowierzała.

Przez nieistniejący świat biegł Sol! Poznała go, a widziała wyraźniej niż kiedykolwiek! I widziała, że był częścią jej życia bardziej, niż dotąd myślała!

*Znam cię! Pamiętam!* Widziała dobrze, młodymi oczami!

Lecz przebiegł obok, ścigany przez potwory, zamknięty w innej rzeczywistości, sennej. Na oczach Olchy wpadł w przełęcz, lecz nie uciekł. Tam zawisł na potężnej wierzbie i tam wgrzył się weń pierwszy z wilkołaków.

Nagły bezdech obezwładnił ciało.

*Moje dziecko...!!!* – zawyło w niej.

Głos jął dławić, odbierać życie. Zewsząd napierało bez-powietrze. Panika wypełniła umysł wiedźmy. Olcha wiedziała, że gdyby nawet mogła krzyknąć, nikt nie usłyszałby jej pod masami wód jeziora. A jednak spróbowała:

– Aaaa!

Skuliła się. Ocknęła. Żyła. Lodowaty chłód zimy zaatakował nagie ciało.

Olcha odetchnęła, gwałtownie spoglądając wokół. Starcze oczy, choć na powrót kaprawe, poznały. Znów była w dolinie. Nigdy jeszcze tak się nie ucieszyła na widok swojego zapyziałego świata. Jednocześnie czuła obawę – wciąż nie znalazła Nawoja i nie wiedziała, czym obecnie był.

O brzasku wiedźma wślizgnęła się do izby. Odwiesiła kozuch na kołek w ścianie, zagrzała się nieco przy ogniu, dorzuciła dREW. Chwilę siedziała ze wzrokiem odległym, tkwiąc jeszcze w odmętach jeziora. Mało obecna usiadła w kolebadełku i otuliła się kocem. Nie znalazła

ni śladu Nawoja w jeziorze, ale wobec ogromu podwodnego świata, nie łudziła się, że spotkałaby go prędko, nawet jeśli by tam był.

Utopiec, niczym ściągnięty myślami podniósł głowę znad skór w wielkim posłaniu. Znalazł spojrzenie staruchy. Ta przywołała go bez słów. Usiadł przy bujaczku wiernie.

Zatopiła palce w pięknych, czarnych lokach, ale i zastygła dziwnie. Zakryła usta drugą dłonią. Chłopak wychwycił to wnet.

– Bogowie... – dobyła szeptu. – Kiedy czasem co ujrzę JEJ oczami, widzę tyle... Ja poznaję cię, dziecko. Ja wiem, kim żeś jest... Sol.

Zastygł uważnie, tętno przyspieszyło.

– Pamiętam twoją buzię – ściszyła głos, by tylko Sol mógł teraz ją słyszeć. – Chowali cię u karczmarza w łyścu, niedaleko domu mego ojca.

Oczy Sol jakby drgnęły, jakby dostrzegły coś sprzed wieków, jakiś trop.

– Karczmarz był to szemrany typ – tłumaczyła Olcha. – Ale matka mówiła, żeś nie był rodzonym synem karczmarza, a dzieckiem przywiezionym w tajemnicy przez jakichś bogaczy. Pewnego dnia, jakieś miał najwięcej dwanaście lat, ktoś przyjechał po ciebie. A karczmarz cię oddał. Myśmy w domu myśleli, że to twoi rodzeni ojce zabrali cię do siebie. Ale dzień później widziała cię na targu niewolnych! Na tym samym, na który mnie potem sprzedali.

Nie umiała wciąż wspominać tego bez cierpięcia skóry i ścisku w żołądku.

– Bogowie, nie poznałam wcześniej – mamrotała pospiesznie, póki myśli nie uleciały, nim je wypowiedziała. – Jakżem ślepa była... Chłopaczka od karczmarza nie poznałam... Jak oni cię wołali? – Myślała zawzięcie. – Och, tylko przezwiska pamiętam: paniczek i gówniarz. – Zasmuciła się.

On siedział otępieła.

– Chodź tu do mnie, słoneczko ty moje – przygarnęła go z koleba-  
dełka, a utopek złożył głowę na opatulonych kocem kolanach starej.

– Pani – podjął smutno – wciąż nic nie pamiętam o tym, coś rzekła. O karczmarzach. Ani o targu.

Współczuła mu bardzo. Wciąż głaskała po czarnych, długich włosach.

– Przypomnisz sobie, wierzę – pocieszała. – Od twoich narodzin minęło ponad tysiąc lat, dziecko. Ktokolwiek był twoim rodzicem, nie żyw już. Próżno by szukać.

– Chciałbym choć wiedzieć.

Pokiwiała głową.

– Jeśli coś jeszcze przypomnę sobie, powiem ci – obiecała. – I może kiedyś jako tako sklecimy twoją historię.

Uśmiechnął się i skinął.

– Pewnie z targu niewolnych mnisi z litości wykupili cię i zabrali do siebie, do świątyni w Bramie Gór. Tameś dbał o dziewczynki, włosy im zaplatał, mył różanecznikiem.

Znów kiwnął głową. Ale spuścił wzrok. Czuł tylko smutek o tym.

– Zabrali pewnie też moją siostrę – rzucił.

Tu jednak zasępiła się.

– Hmm. Ale właściwie, dziecko, skąd ty wiesz coś takiego? – spytała ciekawa. – U karczmarzy nie było żadnej córeczki. Tegom pewna. Byli tylko bracia, z nich tyś najmłodszy. I jakem rzekła, zapewne przybrany.

– Chyba... tak rzekła mi mama... – Szukał w pamięci. – Nie wiem, skąd to mam w głowie.

– Dziecko, karczmarzowa bardzo szybko zmarła. Karczmarz chował synów sam. I to dobrze pamiętam, to byli moi sąsiedzi. Może rzekła ci to rodzona matka? Hmm. Może. O rodzonej siostrze.

Zagubienie w tym wszystkim coraz bardziej przerażało Sol.

– Nie wiem, nie pamiętam – powtarzał w żalu, aż Olsze serce się krajało. – Tak chciałbym pamiętać...!

Tymczasem daleko, na skraju doliny, coś mościło sobie leżeć w korzeniach pewnej starej, wręcz pradawnej wierzb. Przypęłzło znikąd, ale cel obrało świadomie. Czyhało na ten dzień od tysiąca lat. Siwy-mi, trupimi dłońmi rozdzierało zmarzniętą ziemię skarpy brzegowej u stóp zimowego wodospadu. Pod paznokcie naszło brudu, aż jęły więcej przypominać szpony demona niżli człowiecze. Rozchyliło sploty potężnych korzeni, sięgających głęboko w ziemię i pijących soki doliny od wieków. Wdarło się w powstałą u stóp Wierzbowej Boginki jamę.

*Wilkomir?*

– To ja, najmiłsza.

*Tyś nie mój Wilkomir.*

– Wilkomir zdradził twą miłość, królowo. Tylko ja kocham ciebie prawdziwie. Chroń mnie.

Odpowiedziała mu cisza.

Sinawy stwór pozostał, niewygnany. Schował się cały w korzeniach, ledwo ślepia wyglądały spomiędzy zwojów. Wreszcie zamknął je, czyniąc siebie niewidocznym dla świata.

Tak prastary byt zagnieździł się w sercu doliny. Czy był dobry, czy zły, miało się okazać.

Na dzienne światło Sol wychodził następnego południa, gdy wiatr przegnał deszczowe chmury i chwilami odśłaniał nawet słońce. Chłopak kurczowo trzymał się Diorisa, aż narażając na śmieszność w oczach mieszkańców osady. Patrzył w niebo z takim przejęciem, że widzący to wieśniacy podśmiechiwali się zeń, szemrząc nawet o ułomku, czy innym słabującym na umyśle. Pogardliwe spojrzenia towarzyszyły Sol, nawet nieskrywane, jawnie wrogie.

– O, żeśmy są na miejscu – oznajmił Dioris nie bez ulgi, gdy doszli stajni. – Już słyszę Kasztana – dodał, bo rzeczywiście ogier zakwicział rażno, widocznie również poznając po głosie nadchodzącego pana.

Ledwo rycerz odemknął rygiel i zwolnił dłoń, w nią już odruchowo wsunęła się dłoń wystraszonego utopca. Mężczyzna westchnął, wznosząc oczy ku stropowi, ale przyjął gest. Poprowadził chłopaka za rękę ku Kasztanowi wyglądającemu już ze swojej przegrody.

Sol bał się wielkiego konia, którego kłęb sięgał mu niemal do czubka głowy. Ale na tyle zainteresował się zwierzęciem, zachęcony do głaskania, że zapomniał się i wysunął dłoń z męskiej dłoni. Dioris odetchnął i uśmiechnął się pod nosem. Pokazał, skąd wziąć siano i jak podać zwierzęciu. Potem zrobił zgrzebło z wiechcia słomy i uczył Sol czyścić Kasztana, cierpliwie wobec lęklivosti chłopaka na niemal każde parsknięcie, czy tupnięcie konia.

– Lubi mnie? – Dziecinne pytanie Sol na koniec znów wprawiło rycerza w pełną westchnienia pobłażliwość.

– Lubi. Czemu miałby nie lubić? – Mężczyzna odpowiedział życzliwie.

Chwilę przyglądał się temu, z jakim przejściem młodzik głaskał Kasztana. Musiał stwierdzić kolejny raz, że utopek miał w dotyku coś omamiałającego, bo nawet ogier zastygł na dziwnie delikatne musnięcia szyi i niemal przestał jeść. Za to zwrócił łeb ciekawie na głaskającego i bystrym ślepiem łypał nań, jakby podobnego stworzenia jeszcze w swoim końskim żywocie nie widział.

Sol oczywiście dostrzegł to łypnięcie i aż nabrał tchu.

– Ale ma wielki łeb – szepnął, niemal przestając oddychać.

– Spokojnie, tylko patrzy. Jakby kiedyś kładł uszy po sobie i siedł z zębami, to uważaj.

Sol okrągłymi ze zdumienia oczami zajrzał na rycerza, to znów na koński łeb.

– Czasem gryzie – wyjaśnił zdumionemu Dioris. – Zwłaszcza, jak ktoś mu zalezie za skórę. – I całkiem odprężył się w temacie. Westchnął w rozmarzeniu: – Czasem na polu bitewnym, to i twarz komuś odgryzł. Czy choćby nos. Zwłaszcza w zwarcu, kiedy wróg wyjątkowo plugawy był... Albo gdy bąki żarły bezlitośnie.



Nieco wystopował w opowieści, widząc, że dłoń Sol zwolniła ostrożnie w głaskaniu ogiera.

– Ech. – Rycerz szukał innego zagajenia. – Lubi pod grzywą, żeby drapać go. I na kłębie, o tu. Tylko bacz, bo konie czynią tak sobie wzajemnie i jak się zapomni, gotów i ciebie zębami podrapać... Jak kompana!

Miał się zaśmiać beztrzesko, ale oklapł nieco, bo młodzik znów więcej w przestרחu oglądał się na konisko, niż głaskał.

– Ma ładną grzywę – padło tymczasem od chłopaka. Wyraźnie też on sam jakby odwrócił swoją uwagę od zębów zwierzęcia. – Można by ją zapleść tak... – W oczach Sol zarysował się jakiś nowy zachwyty. Zupełnie taki, jak przy wążaniu różanecznika i myciu czyichś włosów zeszłego wieczora.

Rycerz ocknął się.

– Aaa. Zapleść? – Chwilę rozważał dziwny pomysł. – Czemu nie? Pleć, jak lubisz.

Potem już tylko spoglądał, jak wprawne palce utopca chwilę bawią się kosmkami kasztanowej grzywy, po czym z niesłychaną szybkością i zwinnością zaplatają... przepiękny kłós.

Dioris zamknął usta, jak tylko spostrzegł, że rozdziawił je niemądrze. W zdumieniu śledził powstający, misterny splot.

– Jak to robisz? – Poweselał w podziwie. – Skąd to umiesz?

Sol drgnął w zastanowieniu. Ale to pamiętał.

– Zaplatam włosy – odparł cicho. – Nie wiem, komu. Dziewczynom.

– W świątyni? – Dioris myślał szybko.

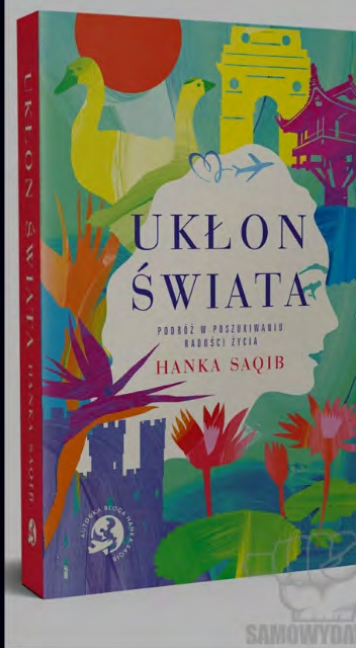
– Tak. – Tu Sol widział, że to, co wypowiada spontanicznie, lepiej działa, niż świadome przypominanie sobie. – Tak, w świątyni – powtórzył, szczęśliwy z tej pewności. – Może mojej siostrze?

Dioris skakał wzrokiem z zaplatanej grzywy Kasztana na chłopaka i odwrotnie. Rozmyślał.

– Jak miała na imię? – zaryzykował szybkie pytanie.

- Kto?
- Twoja siostra.
- Imię... Ja... nie pamiętam... - Sol aż zatrzymał się na chwilę w czynności, a jego twarz posmutniała w odkryciu. - Nie pamiętam! - Spojrzał na Diorisa w przerażeniu. - Co ze mnie za brat?
- A potwór? - Rycerz wystrzelił szybko, by odwrócić uwagę od tej dziwności i podtrzymać ciąg odruchowych odpowiedzi.
- Bezimienny.
- Co? Naprawdę?!

# Przedświąteczne oferty



RABAT DO

-30%

Wyjątkowe książki!  
Od niezależnych autorów!

**SAMOWYDANEY.PL**

– Tak ma na imię: Bezimienny.

– Ooo. – Dioris prychnął wesoło. – Ładne imię. Czemu nie ma innego? Zwykłego?

Sol pomyślał chwilę.

– Ojciec zabronił nadawać mu prawdziwego imienia – odpowiedział w skupieniu. – Żeby był straszniejszy. I żeby go utwardzić w... bezduszności.

– Ojej. To okropieństwo jakieś.

– Tak – przytaknął i Sol. – Bezimienny płacze... na dnie jeziora... w zamku.

Dioris zmrużył uważnie oczy.

– Dlaczego płacze? – podtrzymywał swoistą, ale widać skuteczną przepytówkę.

– Bo... zabił ojca.

– No nie dziwię się. Bezimiennego też?

– Nie. Imiennego. Wilkomira!

– Zabił Wilkomira...?!

– Tak! – W oczach utopca rozbłysło dumą.

– Nooo, to już znajomo brzmi. Dobrze ci idzie, Sol!

– I od jego łez jezioro jest słone!

– Dobrze, dobrze. A... czy Bezimienny opuszcza czasem ten podwodny zamek?

– Tak. I poluje na nas.

– Na utopki?

– Tak. Rozszarpuje... Zjada... On... ma wielkie szpony i zęby! I... boi się mamy.

Zapadła cisza. Tylko Kasztan wrócił do jedzenia, a miarowe chrupanie siana kołło zmysły.

– Czy Nawoj kazał Bezimiennemu – Dioris chciał zapytać już o ostatnią rzecz – zabić też tego chłopaka przed laty? Tego, co wiedźma z Wilkiem mówili: Brzóskę? Czy może zrobił to Nawoj, lub ktoś inny? Albo współ to uczynili?

Sol jednak zaciął się we wspomnianiu. Aż zapomniał pleść. Palce utkwiły w grzywie konia, jakby martwo, zupełnie jak niewidzący wzrok.

– Nie pamiętam więcej – szepnął Sol. – Nie pamiętam...

– Och, nie szkodzi. I tak dużo sobie przypomniałeś. – Głos rycerza, jak zwykle, był łagodny. – Hmm, ciekawe tajemnice kryje to jezioro. Anim się nie spodziewał.

Postali chwilę, podumali.

Potem Dioris poszedł narąbać drewna na placu obok, chłopakowi zaś przykazał wyrzucić Kasztanowi gnój i pościelić słomą. Wydawało się, że Sol nabrał nieco odwagi wobec konia i chciał sprawdzić się w zleconych czynnościach.

Dioris pozwolił, by rzeczy ułożyły mu się w głowie. Wyszedł na plac, zdjął kozuch i koszulę, szybko rozgrzawszy się przy pierwszych uderzeniach, a nie chcąc zabrudzić i przepocić odzienia. Robota uspokajała go. Doglądał poczynań Sol w międzyczasie, coś czasem doń rzucił, ogólnie cieszył się odosobnieniem i prostotą czynności.

Dzień miał już w sobie kolejną przepowiednię wiosny. Sikorki śpiewały chmarnie, z dachów kapał topniejący śnieg.

Tymczasem Sol skończył wyrzucanie gnoja od konia i na dłużej utknął przy placu z pniami do rąbania drewna. Dioris czuł na sobie jego dziwne spojrzenie. Miało w sobie coś z zerknięć dziewczek. A może już się tak rycerzowi zdawało.

Przerwał. Spojrzał chłopakowi w twarz. Tamten nieco zakłopotał się, może speszył. Może nawet zarumienił. Sam Dioris aż uciekł wzrokiem, w niedowierzaniu, ale i w rozbawieniu kręcąc głową.

– Chętnyś na rąbanie? – Wyciągnął siekierę do utopka.

Młodzieniec podszedł wstydliwie, przejął narzędzie. Znow jego wzrok śliznął się po nagim torsie rycerza.

Dioris omal nie zaśmiał się na to nerwowo.

– Ładnie wyglądasz – stwierdzenie Sol sprawiło, że mężczyzna niemal się zadławił powietrzem.

Speszył chłopaka.

– Masz ładne ciało – odpowiedział bardzo cicho Sol. – Ja też takie bym mógł mieć?

Dioris łypnął na chuderlawe ramiona utopca. Choć skrywało je odzienie, znał je.

– Tak – odparł całkiem poważnie – To przychodzi z wiekiem. I od pracy. Zmężniejesz wnet, nie obawiaj się. Jesteś całkiem wysoki, mojego wzrostu. Tylko czekać.

Sol wyraźnie ucieszył się. Więcej niż tylko z tego, co powiedział Dioris.

– Wiesz – zbliżył się do mężczyzny, niemal dotykając ustami jego ucha i nim Dioris poczuł ciarki, dokończył szeptem – jedna dziewczyna uśmiechnęła się do mnie.

Teraz Dioris widział rumieńce na twarzy młodego. I pełne przejęcia, radosne oczy. Rycerz odpowiedział równie pogodnym uśmiechem.

– Która? – spytał tak samo cicho i w zaufaniu. A potem przypomniał sobie! – Taka z warkoczem... i z kotkiem?

Młodzieniec skinął i aż tryskał szczęściem.

– Wyglądała na miłą – mówił. – Jak myślisz? Nie śmiała się, jak inni, dobrzem poznał?

– Tak. – Dioris musiał przyznać. – Jej uśmiech był szczery i życzliwy tobie.

– Nie dworowała ze mnie?

– Nie wyglądała na jakąkolwiek kpinę. – Tu mężczyzna nabrał nadziei. Przyjrzał się czulej swojemu podopiecznemu. – A podoba ci się?

– Tak. Ma takie długie, jasne włosy. I dobre oczy.

– No i czarnego kotka.

Sol kiwnął głową z zapałem, jednakowoż głównie w rozmarzeniu.

Ale nie dokończyli rozmowy, bo głos zza kupy porąbanych drzew wybił ich obu z tematu.

– Co to za nowa pizda w dolinie? – brzmiała zaczepka. Należała do Boleczaja. Dioris kojarzył już pijaka. Niestety źle.

– Odejdźże, człowieku – warknął na chłopca. – Szukasz zwady?

– Nie z wami, panie. Jeno to młode śmiesz mi nie miłosiernie. – Ton Boleczaja wskazywał, że ów bardzo starał się podliznąć Diorisowi kosztem Sol. – Chłopak to, czy dziewczka, rzeknijcież, panie, bom się nie wyznał, a patrzam i patrzam już tyle!

– Jestem chłopakiem – odparł Sol cicho, ale stanowczo.

– Idźże, człeczko. – Dioris nie brzmiał wrogo, wierząc jednak w Boleczaju wzrokiem. – Co ci chłopaczyna zrobiła, że szydzisz zeń?

– E, nic, nic. Takem wiedzieć chciał. – Boleczaj stracił rezon i odszedł jakby nigdy nic.

– Czemu on myślał, że jest dziewczyną? – spytał Sol, gdy zostali z Diorisem znów sami.

– On nie myślał.

Chłopak trawił to, co padło.

– Czemu tak spytał? – poprawił się roztropnie.

– Żeby ci dokuczyć?

– Czemu chciał mi dokuczyć? Nie lubi mnie?

– Nie zna cię.

– Ale to... – Sol znowu nie nadązał. – Wyglądam jak dziewczyna?

– Nie. – Dioris miał dość. – Aleś może mu się spodobał. – Tu szybko pożałował spontanicznego żartu.

– Jak to spodobał? – drążył Sol. – Przecież że chłopak.

– Takem palnął tylko.

– Czemuś tak palnął?

– Sol, po prostu... – Dioris nie wiedział, czy ma ochotę roześmiać się, czy zwątpić w sens rozmowy. – Pewnie widział, żeśmy ze rękę szli między chatami. – Tu niestety spojrzenie Sol zdradziło jego nikły poziom zrozumienia. Dioris zniżył głos: Możemy się trzymać za ręce, ale nie jak kto widzi. Mogą coś pomyśleć...

– Co? – Sol oto myślał i naprawdę widać było, że stara się pojąć. – Żem jest dziewczyną?

– Że łączy nas coś, co w świecie... Ech.

– Że co łączy? – Coś z wolna przebijało się w głowie chłopaka. – Że dwóch...

– Tak.

– To ludzi śmiesz?

– Raczej złości. Karzą śmiercią.

Dioris postanowił zakończyć gadkę o tak ważnych sprawach w miejscu, w którym niejedyn mógł podsłuchać. Wziął koszulę, przywdział, potem kożuch. Nałożył dREW sobie i chłopakowi, po czym zgarnął Sol i dREWNO do chaty.

W izbie utopiec był smutny. Widać, że przemyślał i przeżywał temat. W oczach miał strach przed odrzuceniem, który towarzyszył każdemu spojrzeniu posyланemu Diorisowi, i niemalże łzy. Gotów był rozplakać się, gdyby tylko tak bardzo nie chciał wytrzymać. Mężczyzna widział to, rozumiał i dlatego jak najszybciej zadekował się w posłanie, przywołując do siebie utopka. Ulga i radość wróciła w chłopaka, kiedy tym razem mężczyzna sam zachęcił go do wspólnego przykrycia. Zasugerował nawet złożenie głowy Sol na jego ramieniu, na co chłopak omal nie rozplakał się ze szczęścia.

– Nie jesteś na mnie zły? – spytał Diorisa.

– Ani trochę.

– Bałem się.

– Wiem. – Dioris pogłaskał go o włosach. Czuł, jak wiele to dla młodego znaczyło i nie skąpił objęć, takich, jak wcześniej miał dlań. – Tamto z Boleczajem niczego nie zmieniło.

Sol trawił kolejny kęs sprawy.

– Nazwał mnie pizdą – przeżywał. – Brzydko tak o kobietach mówić. Chociaż jam chłopak – zaznaczył pospiesznie.

– A jak ładnie mówić?

– No... różyczka. Albo kwiatuszek.



Dioris nie mógł nie zaśmiać się. Uczynił to jednak niegłośnie.

– Przepraszam, że cię naraziłem – szepnął Sol. – Jakby ludzie pomyśleli przeze mnie, że trzeba nas ukarać śmiercią... Wiesz. Więcej tak nie będę.

– Niepotrzebnie ci przykro. Lubię, jak mnie trzymasz za rękę. I jak leżymy razem.

– Naprawdę?

– Ummm.

– A pani albo Wilko mogą widzieć, że to robimy – Sol upewnił się.

– Tak. To przyjaciele.

Sol wtulił się w Diorisa dziecinnie i w uldze. Ale z wrażenia długo jeszcze nie mógł zasnąć.

– Myślisz, że ta dziewczyna... ta z kotkiem... – przeżywał sprawę – słyszała to o mnie? I więcej się nie uśmiechnie?

– Jak jest dobra i mądra, to się uśmiechnie.



**Agata Kasiak** – autorka powieści *Baśń o Wilczej Dolinie*, *Wiedźma z Bronaczowa*, *Radosna Nowina* i *Mogiłka*.

# Kołdra z gwiazd

Agnieszka Kusiak

Starzec idący przed nią skupiony jest na czymś, o czym tylko on wie. Idzie sprawiając wrażenie nieobecnego tu i teraz, tu gdzie jest. Zapatrzonony w stopy przesuwa powoli jedna za drugą.

Prawa, lewa.

Prawa, szur, lewa.

Krok za krokiem. Dziwi się każdemu pokonanemu metrowi, zaskoczony, że jednak się udało. Że jemu się udało. Już teraz, idąc powoli wie, że w domu będzie mógł być z siebie dumny. Nie zdziwiłaby się, gdyby bił sobie brawo. Szura powoli, tupta w swoim tempie, a ona uśmiecha się do jego pleców. Podziwia go i współczuje jednocześnie. Chce w jego wieku być taka, jak on. Walczyć z bolączkami, z płytkim oddechem, z bólem rozlanym po całym ciele. Chce wychodzić z domu i chce do niego wracać.

Prawa, lewa.

Odpoczynek. Szukanie chusteczki w prawej kieszeni za dużych spodni.

Wytarcie nosa.

Głębszy oddech. I jeszcze jeden.

Ruszamy, szepcze za niego, jakby chciała w ten sposób zdopinguować go do dalszej drogi. Patrzy na zgarbione plecy, przystaje kilka kroków za nim udając zainteresowanie pobliskim ogródkiem pełnym kwiatów o tysiącach kolorów. Jej się do domu nie spieszy, z pewnością w przeciwieństwie do niego. On chciałby do swojego jak najszybciej dojść. Dojść i usiąść i chwilę odpocząć, po swojemu, tak, jak lubił. Złapać oddech, wyrównać go. Wciągnąć tak głęboko, jak się da. I chyba ta myśl, świadomość, że każdy krok zbliża go do drzwi własnego domu wprowadził go w ruch.

Prawa, szur, lewa.

Prawa, lewa.

Ona do swojego domu się nie spieszy. Najważniejsze, że z niego wyszła i na razie wracać nie chce.

Idą.

On przed nią nie wie o niej, a ona, idąc za nim, wyobraża sobie życie i codzienność tego starszego pana. Przyklejona do jego pleców kilka metrów dalej, idzie razem z nim krok po kroku. Czuje, jakby go potrzebowała, choć nie wie dlaczego, ale czy to ma jakiegokolwiek znaczenie? Znaczenie ma to, że opuściła swój dom, że postawiła stopę za progiem, dostawiła do niej drugą i zamknęła za sobą drzwi. Że przekręciła klucz w zamku i schowała go do niewielkiej torebki przewieszanej przez ramię. Każdego dnia takie banalne wyjście wiele ją kosztuje. To zmaganie się z samą sobą. Uczy się wychodzić z własnego domu i uczy się do niego wracać. Bez strachu, bez obaw, bez leków i czarnych myśli w głowie przesłaniających to, co jasne. Stara się, a każdy dzień, w którym jej się to udaje sprawia, że jest z siebie dumna. Podobnie jak staruszek, który wraca do swojego mieszkania, siada na ulubionym krześle i czuje rozpierającą go dumę z tego ogromnego dla siebie wyczynu. Bo to osiągnięcie tak znaczące w jego wieku to sukces, który będzie cieszył cały dzień. Świadomość, że dał radę sam wyjść i wrócić. Że serce mu pozwoliło, że oczy i kolana... Że ból dał mu taryfę ulgową i pomachał zieloną flagą nadziei...

Jest dobrze, powie do niewidzialnego Boga w ramach podziękki. W tym wieku za wszystko trzeba podziękować, po każdej udanej czynności należy pamiętać o słowie do Boga. Jakimkolwiek. On będzie wiedział, że to od ciebie, że pamiętasz. Mówił wnuczce, gdy ten patrzył ze zdziwieniem na dziadka trzykrotnie wyższego od niego.

Ona roi sobie o jego życiu, trudach codzienności i bólu przeżytych lat. Maluje życie obcych nie mając pojęcia, czy z tego obrazu

jakiegokolwiek punkty będą styczne z rzeczywistością. Często to robi, by ujarzmić wymykające się spod kontroli myśli. Dlatego życie innych zaczęło ją bardziej fascynować od własnego, odrywało od choroby tak trudnej dla niej w codziennych zmaganiach. Jej życie było puste. Bała się tego słowa, dlatego nigdy nie wypowiadała go na głos. Nie wypowiadała ani do siebie, ani do czterech ścian mieszkania. Milczała w sobie, a pustkę połykała.

Codziennosc zmusiła ją do walki o siebie i o zmianę tego, co jest. Do zmiany psychiki, która nie następowała tak szybko, jakby tego chciała. Od nadmiaru bólu, cierpienia i coraz większej ilości połykania tabletek znalazła się w gabinecie.

*To dobry specjalista, doradzały osoby, które go znały i które się u niego leczyły.*

Mówiły same od siebie, tkwiąc na niewygodnych, drewnianych krzesłach w kolejce na wizytę. Ona nie pytała o nic. Nawet nie zdążyła, gdy tamte wystawiły mu świadectwo najwyższego stopnia profesjonalizmu.

Popatrz, mówiła jedna z nich, ta, przy której usiadła w kolejce do lekarza. Popatrz, powtórzyła i wyciągnęła do przodu dłoń pokazując jej blizny na przegubach. Cięłam się, chciałam skończyć ze sobą. Nie udało się, bo zawsze ktoś mnie znalazł w odpowiednim momencie. Ktoś wszedł do łazienki bez pukania, a raz odratował mnie chłopak z wezwanej parę minut wcześniej karetki pogotowia. Potem chciałam skoczyć z balkonu... Była jasnowłosa, pogodna, młodą kobietą. Jej uśmiech zjednywał ludzi, a ona nie potrafiła oderwać od niej oczu. Mieszkam na trzecim piętrze, ciągnęła ni do niej, ni do siebie. Dwa miesiące temu byłam wrakiem, przestałam poznawać samą siebie w lustrze, dlatego przestałam w nie patrzeć... Niejeden raz podchodziłam do metalowej balustrady. Trzymałam się jej kurczowo, wyciągałam ciało i twarz... Zamykałam oczy i próbowałam być-nie-być...

Co będzie, jak mnie nie będzie? Głupio pytałam samą siebie. Co będzie po mnie? Bo świat się przecież nie zatrzyma, nie uroni nade mną łzy, nie położy żywej róży na zimnej piersi. Nic się nie zmieni poza tym, że mieszkanie po mnie zostanie puste. Potem pewnie uprzątnięte z rzeczy, które dla mnie tak wiele znaczyły, a dla innych będą tylko nic nieznaczącymi śmieciami. Moja śmierć tak naprawdę przyspieszy tylko wprowadzenie się kogoś nowego. Kogoś, kto podobnie jak ja będzie tu żył, marzył, budował dni, a te w lata bez końca. Kartek z kalendarza nadal będzie ubywać...

Nic się nie zmieni...

Z A. zeszły razem do kawiarni obok ośrodka psychoterapii.

Siedziały przy oknie, choć widziały się pierwszy raz i nic o sobie nie wiedziały, to choroba i nieuzasadnione pretensje do życia szybko je połączyły.

Już dawno z nikim tyle nie rozmawiała. Więcej mówiła A., ale to, co wychodziło z jej ust, było przecież o niej samej. Nie stała wprawdzie na balkonie i nie myślała o samobójstwie, ale wszystko to, co czuła i o czym mówiła A. było jej znane. Z tym żyła dzień po dniu. I nagle tam, w tej kawiarni siedząc kolo okna z obcą dotąd kobietą, poczuła, jak zaciska jej się gardło, a gorycz zalewa wnętrze. Zrozumiała, że tego nie chce, że nie chce z takich dni budować lat i życia całego.

Że musi skończyć... że musi zacząć... że nie chce tak.

Wrażliwość nie jest niczym dobrym, dodała A. i sięgnęła po dużą kawę z mlekiem, jaką zamówiła.

Ona swojej nie była w stanie łyknąć. Zawsze piła do dna i w nieograniczonych ilościach, ale tu, teraz, siedząc z A. w cukierni obok ośrodka, nagle wyraźnie zobaczyła samą siebie...

Gorzkiego obrazu nic nie było w stanie osłodzić, nawet kilka łyżek wsypanych do filiżanki.

W gabinecie była raz. Dostała leki. Na receptę. Miała przestrzegać ich zażywania i trzymać się zaleceń. To był warunek leczenia i jego

pozytywnych efektów. Wszystko to, czego potrzebowała poza lekarami dostawała od niczego nieświadomej A. Przypadkowo poznana osoba okazała się ratunkiem, jakiego najbardziej potrzebowała. Była jej motywacją do porannego zwlekania się z łóżka i zmagania z tym, co miała, o czym myślała i w jakim momencie życia była. Zaczęła dbać o siebie i o bycie słowną z sobą samą. Wszystkiego musiała się nauczyć. Wszystkiego tego plus wiele innych czynności i myśli.

Diagnoza postawiona przez lekarza składała się z jednego słowa – depresja.

Dobrze, że pani przyszła, jeszcze długo po wizycie obijało jej się o uszy.

Dobrze, że pani przyszła – jak kolo ratunkowe rzucone topiącej się osobie.

Dobrze, że pani przyszła, bo to ostatni moment, w którym jeszcze mogę pani pomóc. Ale i pani musi tego chcieć, dodał patrząc na jej reakcję. W przeciwnym wypadku leczenie nie ma sensu, dodał.

To jak z pływaniem, pomyślała. Samo koło nie uratuje od śmierci. Trzeba jeszcze chcieć to koło złapać i z niego skorzystać. I ona tak zrobiła już tam, siedząc przy biurku naprzeciw lekarza, ściskając w dłoniach ucho torebki i drżąc w środku. Podała mu niewidzialną dłoń na znak zawarcia umowy. Że tak, że ona chce, że się zobowiązuje. Że tak – zrobi wszystko, co dochodzenie do zdrowia będzie wymagało. I nie, nie chce umierać. Nie teraz, nie tak... nie z oddechem depresji na karku.

Zalecenia lekarza – ma wychodzić z domu. Codziennie. Ma się to stać jej nawykiem. Wychodzić z obranym celem i bez jakiegokolwiek celu. Może sobie go sama wymyślać. Jest jesień, może zbierać żółte liście, może szukać żołądki, albo orzechów – cokolwiek.

Ma opuszczać dom.

Ma zamykać drzwi za sobą, przekręcać klucz i iść.

Nie myśleć o czasie, nie nosić zegarka ze sobą. Ma chodzić i obserwować ludzi wokół, nasłuchiwać dźwięków. We własnej głowie nie porównywać się do nikogo. Ma też znaleźć sobie jakąś pasję. Coś, co będzie ją ciekawiło i zajmowało miło czas. Może układać puzzle, wyszywać, malować. Może haftować. Może spróbuje pisać bajki lub baśnie? Może opowiadania? Cokolwiek, co ją wciągnie, zajmie i jednocześnie przyniesie niepisaną dumę. Że coś zrobiła, coś dobrego, że ma ochotę na więcej, że jej się to podoba, że może o tym porozmawiać z kimś innym, podzielić się.

Że może tak zwyczajnie, jak to robią zwykli ludzie, nawiązać rozmowę.

Ma pani dać sobie czas i spróbować, co Pani najbardziej odpowiada, co daje frajdę, powiedział. Następna wizyta za cztery tygodnie. Do ręki wsunął jej jeszcze namiary w razie gdyby wydarzyło się u niej coś nagłego, coś niepokojącego, coś, co ją wystraszy. Na leki może różnie zareagować, głowa może się buntować. Organizm nie zawsze jest nam przychylny, dodał, a ona ma wiedzieć, że tu zawsze ktoś jest i ktoś jej pomoże. Że nigdy nie zostanie sama.

Życie jest piękne, powtarzała każdego dnia w ramach terapii. Powtarzała, jak zdarta płyta winylowa, która trafia igłą na rysę. Czasem dodawała – i dobre. Jest dobre, gdy i ja jestem dobra dla siebie i innych.

Życie jest piękne, a ona każdego dnia uczyła się tak na nie patrzeć i takim je widzieć.

Życie jest piękne i dobre i jej takie się powoli stawało.

Pewnego dnia postanowiła zrobić coś, czego nie robiła od lat. Postanowiła upiec sernik, który kiedyś tak lubiła, a którego nauczyła ją babcia. Kiedyś chodziła do cukierni, sporadycznie, teraz nie miała z kim, a samej nie miała odwagi. Jednak pieczenie, pieczenie było



w domu od zawsze, od czasów babuni, która uczyła ją, siedmiolatkę, zagniać ciasto na stolnicy. Od tego się zaczęło.

*Ciasto musi powstać w domu*, mawiała babcia. Kiedyś i jej powstawało, a piekarnik otwarty tuż po pieczeniu wypełniał słodczą całą dom. Z tego domu to ciasto rozchodziło się po innych. To babusia uczyła ją bezinteresownego dzielenia się dobrem. Już ona to wiedziała, a ona teraz tego nie potrafi. Musi się nauczyć, bo pogubiła się w tym swoim chorym życiu. Zapomniała o tym, co przeżyła, co otrzymała od innych i ile straciła. Zamknęła się kleszczach tu i teraz, przygnieciona psychiką i stosem niepotrzebnych recept na leki, które nie pomagały.

Dawno zapomniała, jak to jest, gdy piecze się samej. Zapomniała, jak pieczeniem pachnie dom i jak smakują wrażenia, gdy miesza się poszczególne składniki i kosztując, oblizuje surowe, acz pyszne już ciasto. Zapomniała jak to jest skrupulatnie, z przejściem wręcz, pilnować czasu pieczenia i zaglądać przez szybę do wnętrza piekarnika raz za razem by placek się nie przypalił. Zapomniała jak to jest w kuchni w tym czasie, jak wiele przestrzeni zajmują opakowania z mąką i cukrem, czy przyrządami do mieszania. Jak to jest szperać w przyprawach, wachać je i wciągać w siebie. Zapomniała o tej radości...

Wymazała z pamięci uczucia towarzyszące krojeniu przestudzonego już, świeżego placka i kładzeniu kawałka na ulubionym talerzyku z cienkiej porcelany, którym celebrowała takie momenty. Nie istniały już obrazy przywołujące sięganie po złoty widelczyk i zanurzanie go najpierw w upieczonym serniku, a potem w ustach.

Zamykała wtedy oczy i czuła się wyjątkowa.

Tak, jak teraz. Po latach, których nie umiała zliczyć. Czas wyciągnąć owo zapomniane zdjęcie sprzed lat i je rozprostować. Czas nadać mu smak i kolory.

Zabrała się za pieczenie, by siedząc wieczorem na balkonie z talerzykiem na kolanach, poczuć się najszcześliwszą osobą na świecie.

Sernik wywołał lawinę wspomnień. Popłakała się ze smutku i rozczulenia. Rozpłakała się z nadmiaru emocji, jakie się w niej obudziły.

Węzeł w niej zaczął puszczać. Mniej bolała dusza, łatwiej łapała oddechy. Zerkała na niebo, na gwiazdy i na wszystko przed sobą. Na oświetlone kwadraty okien naprzeciwko i sylwetki w nich poruszające się z jednego miejsca do innego.

I wtedy coś jeszcze się w niej otworzyło, choć jeszcze nie wiedziała co. Gwiazdy. Punkciki na niebie, które zaczęły ją ciekawić i przyciągać. Diamenty tylko dla niej.

Zaczęła lubić wieczorne spacerowanie, podczas których patrzyła w niebo. Chodziła tam, gdzie było mniej ulicznych oświetleń, czy przydomowych świecących latarenek, by widzieć te mrugające do niej punkty na czarnym nieboskłonie. Wyciągała głowę do góry i uśmiechała się do tego, co było nad nią. Uśmiechała się do tej czarnej kołdry nad głową, w której odkryła piękno.

Zaczęła też coraz częściej sięgać po publikacje na temat gwiazd i nieba w ogóle. Uczyla się nowych słów, bo jako amator nie znała ani przestrzeni kosmicznej, ani zasad jej istnienia.

Oszłomiło ją niebo samo w sobie.

Codziennie wychodziła. Codziennie jej się chciało. Codziennie odkrywała w sobie coś nowego.

Obudziła w sobie ciekawość uszpioną od wieków i nie potrzebowała do tego leków.

Szła poboczem ciemnej drogi z głową zatopioną w gwiazdach. Nie patrzyła pod nogi. Patrzyła do góry. Zapušciła się do dzielnicy zapomnianej przez Boga. Cisza, cisza, cisza. Nic poza nią i śpiącymi domami, w większości pustostanami. Cisza, nawet pies nie szczekał. Oświetlenia co pół kilometra. Wyszła na środek ulicy i patrzyła w niebo.

Nierozważnie.

W ciemnej kurtce, z kapturem na głowie, z zamkniętymi oczami i całkowicie oderwana od rzeczywistości.

Nierozważnie.

Było ciemno i ona w tej ciemni.

Jedno tło. Jedna czerń.

Błysk, nagle, oślepienie i pustka. I cisza.

Dopiero w południe przejeżdżał tędy pierwszy samochód. Kierowca skracał drogę i zbieczył z głównej trasy. Spieszyło mu się, bo przecież miał być finał meczu w telewizji. Na żywo. Musiał zdążyć.

Najechał prawie na leżące ciało z głową w kałuży krwi.

Nie zdążył dojechać na czas. Nie zdążył nawet na końcowe pięć minut. Na nic nie zdążył, nawet na ostatni gwizdek sędziego. A miało być szybciej, bo to przecież skrót, jaki znał od zawsze. Przecież tu nigdy nic na tej drodze, nigdy nawet kury tu nikt nie potrącił, bo tych nawet tu nie było. Nic...

I nagle to. I nagle ona, ta kobieta.

Ciało.

Jej zwłoki.

**Agnieszka Kusiak** – maniak książek i słowa pisanego. Pisze opowiadania i recenzje. Współpracuje z autorami książek i wydawnictwami.

# Recenzja książki *Szczyńściorz* Pawła Famusa

Karolina Adamska

Team fantastyka polska czy zagraniczna? Jeśli jesteście w pierwszej grupie, to ta polecajka może Was zainteresować!

Odkąd pamiętam, sięgam po fantastykę jako gatunek pozwalający mi się oderwać od szarej rzeczywistości. Odnoszę wrażenie, że nie raz „magiczna zdolność” tych historii ratowała mi życie, zwłaszcza w czasach licealnych. Uwielbiałam i wciąż uwielbiam wsiąkać w wymyślony świat, gdzie wszystko może się zdarzyć. Moje serce zawsze się raduje, kiedy widzę, że powstaje nowa książka i jest szansa na kolejną ciekawą przygodę, którą spędzę z bohaterami.

Kiedy jakiś czas temu dowiedziałam się, że Paweł Famus napisał *Szczyńściorza*, byłam pewna, że muszę to przeczytać! Zanim jednak do tego przejdę, chciałabym wspomnieć o samym autorze, który jest naprawdę intrygujący! Nie tylko pisze i wydaje swoje książki, ale również zwiedza świat i buduje modele redukcyjne (co jest dla mnie czymś rzadko spotykanym!). Uwielbia narciarstwo i tenis. Fascynuje się matematyką, fizyką, chemią, historią

i astronomią. Pełnił służbę w Straży Granicznej i mieszkał w różnych polskich miastach. Obecnie skupia się na rodzinie i pisaniu. I robi to dobrze. Wydał już kilka książek militarnych, a teraz przechodzi z fantastyką!

W *Szczyńściorzu* (*urban fantasy*) ustawił poprzeczkę naprawdę wysoko! Akcja dzieje się w latach 90. głównie w Cieszynie (choć poczytamy tu również o krakowskich sprawach i nie tylko). Jakie było moje zaskoczenie, kiedy od razu wciągnęłam się w ten świat, a nie zawsze jest to takie proste. Problematyczny dla mnie był jednak Cieszyn. Gdyby ktoś kiedyś zapytał mnie, jakie polskie miasto jest chociaż trochę magiczne, wątpię, że bym wskazała właśnie tę miejscowość. Winą obarczam jednak to, że po prostu nie byłam w Cieszynie. Kraków natomiast znam prawie jak własną kieszeń, w końcu całe studenckie lata – a było ich pięć – spędziłam właśnie tam.

W tym miejscu chylę czoła autorowi. Zanurzając się w tej historii, czułam, jak z każdym kolejnym rozdziałem poznaję to miasto, a magia jest tam naturalna, jak budzący się po nocy dzień. Dla

fanów tego gatunku – spełnienie czytelniczego marzenia. Autor tak wszystko opisał, że może kiedyś i ja wybiorę się do Cieszyna? Może mnie również uda się znaleźć starożytny artefakt? Zdecydowanie byłoby to coś pociągającego, ale... w takich historiach zawsze są dwie strony medalu. Z jednej fajnie jest nagle otrzymać magiczne zdolności, klucz do innego świata, peł-

ne mocy artefakty. Z drugiej to zawsze wiąże się z niebezpiecznymi typami dybiącymi na nasze życie. Bo nie oszukujmy się: jest bohater, musi być więc antybohater – *Złot nad złotami*.

Nie inaczej jest w świecie *Szczyńściorza*. Obok zwykłych śmiertelników żyją magowie nieznający sprzeciwu i strachu. Czy główny bohater poradzi sobie w tych okolicznościach? Czy

# Trzej Maszkaronowie gratis

przy zakupie Uniwersum Powiernika  
od F.M. Piątkowskiego.



SAMOWYDAWCY.pl

fabuła będzie na tyle przewidywalna, że Szczynściorz wszystkich rozgromi i stanie się Arcymagiem? Może autor zaskoczy i w tym wypadku? O tym musicie przekonać się sami.

Czytelnik znajdzie tutaj klasyczny przykład przemiany zachodzącej w bohaterze odkrywającym w sobie pokłady siły i determinacji, by zmienić przeznaczony mu los. Historia sama w sobie nie jest jednak ani trochę banalna. Narracja z kilku punktów widzenia to również ciekawy zabieg. Famus przygotował szerokie i zróżnicowane uniwersum. Doprawił świat, który znamy, obdarzonymi magią istotami żyjącymi wśród nas. To mieszanka wybuchowa dla fanów szeroko pojętej fantastyki. Paweł Famus ujął mnie również tym, jak bardzo przygotował się do wydania tej książki. Od strony merytorycznej, redakcyjnej, ale i ilustracyjnej. Chylę czoła.

Co tu dużo pisać? Lubię dobre książki, a *Szczynściorz* jest objęty moim PATRONATEM MEDIALNYM! Nie mogę się już doczekać kolejnych tomów tej magicznej podróży! Serdecznie polecam każdemu, kto chciałby przyjemnie spędzić czas razem z bohaterami tej lektury.

Strona autorska Pawła Famusa  
<https://www.famus.pl>

### Kilka cytatów:

„Sługa czuł, że jego Pan – wróg Powracającego – jest już blisko. Tym razem nie pozwoli, aby podróżnik przeżył to spotkanie i pokrzyżował drogi władcy chaosu”.

„Mówili na niego Kozacki Ataman. Chodziły słuchy, że Kozak maczał palce dwieście lat temu w polowaniu na Szczynściorza, które zakończyło się pokonaniem wielkiego maga”.

„To mógł być tylko Szczynściorz, a to by oznaczało, że już jest silny, sprytny i – co najważniejsze – ma szczęście”.

„Zachary nie widział Zemściora, mógłby jednak przysiąc, że ten już wypowiada zaklęcia bojowe i namawia topór wojenny do krwawego rozprawienia się z Zacharym”.



**Karolina Adamska** – promotorka czytelnictwa. Uważa, że jeden uśmiech może odmienić czyjś dzień. Właścicielka czterech kotów i psa. Miłośniczka Islandii, grozy i Sherlocka H. W marzeniach — pisarka.



# Jechać do Lwowa

Katarzyna Mróz-Jaskuła

Wydostałam się z Chełma i krajową dwunastką wjeżdżam w ciemność gęstą jak smoła. Nagle i bez ostrzeżenia. Tam przecież miały świecić latarnie! Ściskam kierownicę, aż sztywnieją palce, i wypatruję swojego pasa jezdni. Dobrze, że nikt nie jedzie z naprzeciwka.

Wracam z weekendu z mamą i tatą, ich pretensjami, dziwactwami i prztyczkami. To jest zdumiewające: mam czterdzieści lat, ale w domu czas się zatrzymał i znów słyszę: ale co ty robisz, Kasia? Dlaczego nie idziesz do babci, nie zbierasz jabłek, po co ci ta książka?

W bagażniku wiozę jabłka, gruszki, pierogi ruskie, słoiki z dzemami i sokiem z malin, warzywa na zupeę. Fasolową sobie ugotujesz – mówi mama. Dobrze, mamo. Żadne z moich dzieci nie zje fasolowej, ale tego już jej nie zdradzę.

Jadę krajową dwunastką i modłę się, aby żaden dzik nie postanowił tej nocy wybrać się tu na spacer. Mijam rozkopaną obwodnicę Chełma. Potrzebuję drugiej kawy, zjeżdżam na stację, może działa i mają ekspres.

– Jest tylko mała kawa i nie ma pokrywek – burczy sprzedawca. Chyba chciał pospać.

– Ale kawa jest?

Skinął niechętnie głową.

– To poproszę. Kartą. – Płacę i robię małą kawę z mlekiem i cukrem. Obrzydliwa, ale ciepła. Wypijam ją na pustym parkingu i jadę dalej.

\*\*\*



Jechać do Lwowa. Z którego dworca jechać do Lwowa, jeżeli nie we śnie, o świcie, gdy rosa na walizkach i właśnie rodzą się ekspresy i torpedy. Nagle wyjechać do Lwowa, w środku nocy, w dzień, we wrześniu [...]

Znikąd przyplływają słowa Adama Zagajewskiego. Chyba pamiętam, jak poeta czytał ten wiersz – tak mi się wydaje. W Krakowie, jak byłam na studiach. Słyszę tęsknotę Zagajewskiego, jakby do Lwowa nigdy nie dojechał, jakby musiał zmyślić sobie to miasto. Widzę ubranego w czarną koszulę poetę. Kiedyś to byli poeci, teraz to ich chyba już nikt nie wydaje.

Może to było jakieś spotkanie z Ewą Lipską po powrocie z Wiednia? I po co ja się uczyłam w szkole wierszy na pamięć? Żeby przyplwały do mnie cudze słowa w ciemności, w szumie hybrydowego silnika?

Nie jadę jednak do żadnego Wiednia, jestem za Chełmem, jeszcze trzymają mnie korzenie wschodnich wierzb. Nie szepczą kamienie, ale szumi strumień. Krynica – jak mówi babcia. – Tam pod Krynica byłaś? Daleko tak zaszłaś? Babciu, ale to blisko przecież, parę kroków, trzysta metrów. Przytulam ją kruchą i małą, wiedząc, że sama nie dożyje dziewięćdziesiątki. A niedawno świętowaliśmy dziewięćdziesiąte trzecie urodziny babci Zosi. Babcia wprowadzie lepiej pamięta wojnę, Niemców i Rosjan w jej domu rodzinnym, niż to, że ma zjeść obiad, ale dopóki pamięta moje imię, nie jest źle.

Jak mam więc nie myśleć o wojnie, gdy w upalnym ogrodzie babcia opowiada, jak w Krasnym spadły bomby, chyba jeden jedyny raz. Ale to inna wojna była, my mamy swoją. Pijemy kawę dwadzieścia kilometrów od granicy z Ukrainą, pięćdziesiąt kilometrów od zbombardowanego parę dni temu Lwowa. Kamienice takie piękne

zniszczyli, mówi mama. Przestałam oglądać Fakty, więc nic o tym nie wiem. Ale na Lubelszczyźnie i niżej, blisko Horodła, wiedzą od razu, gdy coś złego się dzieje w Ukrainie – po prostu przelatują samoloty wojskowe. Zwykle nocą. Wojna Putina w Krakowie praktycznie nie istnieje. Jaka wojna? My tu myślimy, w którą część Tatr wyskoczyć w weekend.

A jeśli znów nie ma Lwowa? I nie wrócę na tamtejszy cmentarz, nie pokażę córce tamtego rynku? Dokąd będzie jeździł Adam Zagajewski tam, gdzie teraz przebywa, jak runie Lwów?

\*\*\*

W końcu wjeżdżam na obwodnicę Piasków, nareszcie normalna eska, autko sunie równo. Słucham radia Złote Przeboje: „to, co dał nam świaaaat”. Ale nie, gdy zacznie mi się podobać twórczość Krawczyka, sama zakopię się w ogródku. Słucham jednak tego radia moich rodziców, korzystam, gdy nie ma dzieci – wtedy męczymy się na MAXXa.

Przyspieszam, myślę o ojcu. Zmęczony, coraz mocniej zmęczony pracą. Całe życie w kołowrotku, chociaż do niego lepiej pasuje „w kieracie”. Ale w Krasnymstawie chciał pokazać mi miejsce, w którym mieszkał, gdy był w wojsku. Chodził do kantyny na piwo, ale nie pił, bo mu nie smakowało. O, tu mieszkaliśmy, chyba tu, a może nie tu... Może to nie ta ulica jednak, Kasia...

Widzę, że jedyne miejsce, gdzie możemy pogadać, to samochód. Nikt do niego nie dzwoni, nie ma telewizora, nie ma pracy do zrobienia. Coś czuję, że częściej będziemy jeździć w poszukiwaniu nowego siewnika czy ciągnika.

Całe życie pędzi: Ukraina, Turcja, Holandia. Ale nie na urlopy czy wyuczasy. Do pracy albo na handel. Wyszarpował ze swojego kłębka świata to, co mógł. I tak pierwsi w rodzinie mieliśmy magnetowid czy

auto inne niż malucha. Być może robił to dla nas, ale całkiem możliwe, że gnąła go własna ambicja, demony nienasycenia i urażona godność.

Zresztą nadal karmi tego wilka.

Z daleka mijam Lublin, nie mam czasu na oglądanie nocnego miasta. Wygodna ta obwodnica, prawie żadnych aut obok. Zjeżdżam w kierunku Rzeszowa i śpieszę się nadal, do domu, do dzieci. Piję swojego srebrnego rena, ufając nowym silnikom i mocnym kołom.

Los, który dziedziczysz... Brzemie przodków, utracone majątki. Nie wierzę w to, nie ma takiej możliwości, po dziadkach mogę odziedziczyć kawałek domu, ale nie traumy wojenne. Zresztą dziadek niechętnie wspominał wojnę. Był małym chłopcem, gdy jego matka ratowała żydowską rodzinę. Może gdyby gdzieś walczył, opowiadałby później o tym, czego doświadczył? Albo zginąłby w radzieckim nalocie. Nie byłoby Łukaszewskich w Pokrówce za Chełmem, w Lechówce przed Lublinem. Ale szczęśliwie się ostali, cała rodzina w obłoku bohaterstwa. Poznałam prababkę Aleksandrę, zasuszoną staruszkę. Jej twarz znam tylko z fotografii. Gdy widziałam ją jeden jedyny raz, leżała na łóżku i pewnie coś mówiła, ale pamięć dziecka jest wybiórcza.

Tłumaczę swoim dzieciom, że macie prababcię, macie trzy babcie – słuchajcie tej najstarszej. Ale co tam dzieci, mają swoje sprawy, cała trójka dokazuje jak wiosenne żrebaki.

Czuję już zmęczenie, kofeina przestaje działać. Za dwanaście kilometrów stacja paliw, jak dobrze! Tankuję za sto złotych i kupuję duże cappuccino z cynamonowym cukrem. Ulubiona kawa moich podróży smakuje dobrze jak wszędzie, chociaż ma lekko kwaskowate nuty.

Szybko jadę w kierunku Janowa Lubelskiego, znów nie ma innych aut. Lekko się przejaśnia, słucham Taco Hemingwaya. „Sanatorium”, „...eee macarena!”. Bledną gwiazdy, a ja zatrzymuję się na MOP-ie.

Następna stacja: muszę choć na chwilę zamknąć oczy. Rozkładam fotel, mam pod głową poduszkę w czerwone maki (prawie gratis przy zakupie sukienek za ponad dwie stówki), ale sen nie przychodzi. Kątem oka widzę ruch w trawie. Och, na szczęście to tylko czarny kot delikatnie odcina się od szarości. Pewnie szuka myszy, ale nawet tu nie mogę być zupełnie sama.

Odpočzęłam, wysiadam z samochodu i przeciągam się mocno. Rozluźniam szyję, w prawo i lewo, aż chrupnęło. Boli mnie lewa strona karku. Oby to nie migrena! Moje modlitwy o zwykły ból głowy zwykle nie są wysłuchiwane, za dużo myśli – uśmiecham się blade.

\*\*\*

Ale muszę jechać dalej, na A4. Na wysokości Rzeszowa wybieram wreszcie mój kierunek. Już niedaleko, dwie godzinki jazdy, co to dla mnie. Na Spotify znów smęci Taco, przerywany reklamami lodówek w promocji. Żadne oświecenie na mnie nie spływa, nadal nie wiem, co tutaj robię. Chyba czas na wersję premium. Radio to jednak zbyt wielka nieprzewidywalność i złe wiadomości.

„Gdzie lato? (...) Gelato” – uśmiecham się, ponieważ ta piosenka nieustannie mnie rozbawia. Lato kąpie się we wrześniu, 30 stopni w cieniu, jaki piękny początek jesieni – zachwyca się moja mama. W ogrodzie ma dwie miniwystawy dyń i cukinii, królują żółcią i zielenią. Tato nakarmiłby nimi świnię i chyba je nawet ukradkiem wynosi do chlewu. Zabawne są ich małżeńskie tańce, he, he, już dawno taniec godowy zamienił się w wyniosłego poloneza albo wręcz w wojenki podjazdowe. Ale husaria nie wjeżdża, nie ma ostrzałów armatnich, trwa rozejm nabrzmiały od pretensji. Czterdziesta pierwsza rocznica ślubu za kilka dni, szmat czasu razem. Dobrze, że i ja, i moja siostra mieszkamy osobno i daleko.

„E, macarena!” – przełączyłam piosenkę. Fajne to „Sanatorium”. Zjazd do McDonald’sa, czas na kawę i tosta. Karmelowe latte słodkie jak cukierki krówki. Tego mi teraz trzeba – kawy i cukru. Zjadam na ławce na dworze, chłód poranka nie pozwala zasnąć. Mija złota godzina, szósta trzydzieści, cykam fotkę słońca w odbiciu bocznego lusterka. Wrzucam na Insta, śpiewa Podsiadło, ruszam dalej.

Kraków, wreszcie Kraków – moje miasto z wyboru, skomplikowana miłość. Ale czekają na mnie blond główki i lekko tysięjący, ale nadal mądry mąż. Śpią, gdy wchodzę do mieszkania i całuję ciepłe czoło synka. Mogę dzwonić do mamy, dojechałam bezpiecznie, nic się nie działo. Idę robić leczo z cukinii, bo się zmarnuje, mammo. Tak, nastawię kompot z tych spadów, nie zmarnuję nawet ogryzka. Niepryskane, to można.

Ale jutro. Chcę zasnąć choć na chwilę, zasnąć w Krakowie i dać odpocząć głowie. Ziemia chełmska wciąga jak wir, tam nie mam czasu na sen. Burczą samoloty, oby latali w nich wyłącznie studenci pobliskiej szkoły lotniczej. Rano muszę pójść na łąki, pooddychać ziemią dziadków, zerknąć na wierzbowe strażniczki. Stoją dumne i wielkie, a ptaki mogą tam budować gniazda. Nie śpiewają jak wiosną, ale jeszcze są. W dali czapla siwa spaceruje po łące, nie ma już bocianów.

\*\*\*

Idę za płot, a tam rozciąga się łąka aż po horyzont. Znów jestem małą dziewczynką, idę z rudowłosą koleżanką na piknik, idę w nieznaną, zdziwiona, że tu tyle miejsca. Mam osiem lat i robię coś, czego nie wolno nam było robić: przechodzę przez bramę. Koniec ziemi dziadka, bezkresna łąka. Gadamy o szkole, pachnie wiosną na ziemi.

Jeszcze nie wiem, ile podobnych bram będę sobie otwierać. Ile razy przejdę sama siebie, jak bardzo uparta będę musiała być. Będę wyszarpywać ze swojego kłębaka świata tak, aby moja córka miała świat podany na talerzyku. Aby jej zachwyty były większe: umbryjskie pola, renesansowe płótna, koncerty w filharmonii. Ale, mamo – mów do mnie. – Nie chcę iść do żadnych Czartoryskich! Żadne obrazy, znowu, jęczy. Zawieź mnie do stadniny, a najlepiej do dziadków na wieś. Nie rozumiem tego, staram się być uważna na potrzeby dzieci, ale jak można nie chcieć iść do Muzeum Wyspiańskiego?

Ale nie dziś. Dziś modlę się o dwie godziny snu i dzień bez migreny, z lekkim bólem głowy. A potem leczo i kompot z jabłek. Nic się przecież nie może zmarnować.



**Kasia Mróz-Jaskuła** – miłość do książek objawia się tym, że – poza pracą – sporo czytam. Uważam, że trzeba być w miarę na bieżąco w literackim świecie, zarówno pod względem zawodowym, jak i prywatnym.

Wiem, że zawód korektorki wymaga nieustannego podnoszenia swoich kwalifikacji. Z pokorą podchodzę do każdego tekstu, który mam przyjemność składać czy też poprawiać.

Prywatnie jestem szczęśliwą żoną i mamą Olgi oraz Wiktora. Sporo jeżdżę na rowerze i uwielbiam dobrą kawę. W wolnych chwilach robię amatorskie zdjęcia. Pochodzę z Chelma, mieszkam w Krakowie.



# II Festiwal Książek w Płocku Literacki hit czy kit?

Agnieszka Kowalska

W ostatni weekend września odbyła się druga edycja Festiwalu Książek w Płocku, organizowanego przez zrzeszenie Samowydawców. Ponownie miała ona miejsce w tak zwanej Blaszak Arenie przy ulicy Kobylińskiego. O tym, jakie atrakcje dla odwiedzających – zarówno dorosłych, jak i dzieci – przygotowali w tym roku organizatorzy, dowiedzie się z kolejnych akapitów.

Sala gimnastyczna została podzielona na trzy sekcje: kąciak dziecięcy, wy-

stawców oraz sofę prelegentką. Czy skupienie w jednym miejscu wszystkiego i wszystkich było dobrym pomysłem? Cóż, zapewne miało to swoje mocne i słabe strony. Aby jednak wyciągnąć wnioski, pozwolę sobie na podróż w czasie i cofnę się na chwilę o rok, do pierwszej edycji festiwalu. Wtedy w głównej hali znajdowali się tylko wystawcy oraz media, natomiast warsztaty dla dzieci, prelekcje i spotkania autorskie odbywały się







w osobnych, zadysponowanych specjalnie na ten cel salach. I było to bardzo dobre rozwiązanie, które idealnie sprawdza się na wszelkich tego typu eventach. Problem stanowiło jedynie słabe oznaczenie tychże miejsc. Czy nie lepiej byłoby wyciągnąć wnioski z poprzedniej edycji i pozostając przy odrębnych salach, oznaczyć je w bardziej widoczny sposób?

Myślę, że dzięki takiemu rozwiązaniu udałooby się uniknąć harmideru, ponieważ panujący na sali gwar w połączeniu z głosami prelegentów wydobywającymi się z głośników powodował na dłuższą metę zmęczenie i dyskomfort. Ale żeby nie było, że tylko narzekam, widzę też pewne pozytywy tej sytuacji: po pierwsze wystawcy mogli posłuchać

swoich kolegów po piórze, a po drugie rodzice mogli zostawić swoje pociechy w kąciku malucha i, mając je w zasięgu wzroku, spokojnie przechadzać się pomiędzy stoiskami autorów.

W sobotę pierwsze punkty festiwalowego programu rozpoczęły się jeszcze przed południem i były skierowane do najmłodszych uczestników, zaś oficjalne rozpoczęcie imprezy odbyło się o godzinie dwunastej. Był to idealny czas, aby obejść stoiska autorskie, nabyć książki z autografami, przybić piątkę i zrobić sobie zdjęcia z ulubionymi pisarzami. Od godziny trzynastej do końca dnia trwały prelekcje i inne wydarzenia w strefie autorskiej, a rozpoczął je gość specjalny – Krzysztof Piersa, który w swoim wystąpieniu

w ciekawy sposób poruszył bardzo aktualny i ważny temat, jakim jest wpływ gier, internetu i telefonów komórkowych na nasze codzienne życie. Zebrał wokół siebie całkiem sporą publiczność, z którą chętnie dyskutował.

Podobnie było w przypadku spotkania prowadzonego przez Wydawnictwo Mięta, podczas którego rozmowa toczyła się wokół tematu wydawania książek. Okazało się, że zainteresowanie tym zagadnieniem było naprawdę duże. Może zatem warto byłoby iść za ciosem i w kolejnej edycji urozmaicić program o punkty integracyjne dla dorosłych, a także zorganizować warszta-

ty literackie, aby wyjść do czytelników nieco szerzej?

W międzyczasie ogłoszono zwycięzców plebiscytu Samowydawców na najlepszą książkę i najlepszą bajkę. Nikogo raczej nie zdziwiło, że nagrody przypadły odpowiednio Franciszkowi Piątkowskiemu za czwartą część cyklu o Widzącym pod tytułem „Wybrani” oraz Mateuszowi i Mikołajowi Rogalskim za „Zamki i Roboty”. Wyróżnienia jak najbardziej zasłużone, gdyż obie pozycje są absolutnie fantastycznie i każdemu, kto jeszcze nie zna tych historii, gorąco je polecam.

Reszta dnia minęła spokojnie. Miało się wręcz wrażenie, że ci, którzy chcieli



zawitać na festiwal, już na nim byli. Pomiędzy stoiskami hulała teraz tylko pustka i nuda, od czasu do czasu rozwiewana przez przechadzających się wystawców.

W niedzielę do Blaszak Areny przyszedłam już tylko na chwilę, lecz nie zauważyłam większych zmian dotyczących liczby odwiedzających. Za to Kazimierz Greń, wprost ze swojego stoiska, raczył zebranych dźwięcznym wokalem, wyśpiewując mniej lub bardziej znane polskie hity i hiciorki. Nie powiem, ze względu na niską frekwencję było to dość ciekawe i zabawne urozmaicenie.

Podsumowując, zdecydowaną mocną stroną festiwalu jest niezwykle ciepła i rodzinna atmosfera, którą dało się

wyczuć od samego początku. Nie mam tu bynajmniej na myśli wyłącznie grona autorów, bo każdy, kto się pojawił, był witany z uśmiechem i otwartymi ramionami. Różnorodność tematyczna książek także jest ogromnym plusem. Tutaj naprawdę każdy bez wyjątku znajdzie pozycję dla siebie – od fantastyki, przez romans i kryminał, po horror oraz literaturę obyczajową. Również młodszy fani książek mogli wzbogacić swoje domowe biblioteczki o nowe bajki.

Słabym punktem była niestety lokalizacja, ponieważ sala znajduje się z jednej strony przy szkole, a z drugiej sąsiaduje z... nekropoliami. Aż chciałoby się momentami powiedzieć, że ta cmentarna atmosfera wręcz wlewa się





na teren festiwalu. Tak jak w zeszłym roku, tak i w tym przystanęłam sobie na moment przed bramą, rozejrzałam się dookoła i zapytałam samą siebie: „Czy po odwiedzinach u zmarłych miałabym ochotę iść na festiwal i kupić sobie na przykład fantasy z humorem?”. Odpowiedź jest prosta i brzmi: nie.

Impreza sama w sobie ma ogromny potencjał, tym bardziej że rynek samowydawniczy rozrasta się w ogromnym tempie. Przybywa zarówno autorów, jak i samych książek, jednak nad zagadnieniami stricte logistycznymi i marketingowymi należałoby się przed trzecią edycją dość mocno pochylić i wyciągnąć odpowiednie wnioski.

Dla czasopisma „Daję słowo” wydarzenie zrelacjonowała „Vivianne”



**Agnieszka „Vivianne” Kowalska** – rocznik '81, zodiakalna ryba. Wychowana na dziełach Davida Lyncha i Grahama Mastertona. Uzależniona od książek fantasy, grozy, kryminałów, a także od mocnych brzmień. Czująca pociąg do wszystkiego co mroczne. W swojej twórczości nie uznaje tematów tabu.

29-30  
marca 2025

**BOOK  
SPACE**  


Czasoprzestrzeń  
Wrocław

Znajdź swoją przestrzeń wśród książek



**SAMOWYDAWCY.pl**



**DOLNY  
ŚLĄSK**

PATRONAT HONOROWY MARSZAŁKA WOJEWÓDZTWA  
DOLNOŚLĄSKIEGO PAWŁA GANCARZA

# Promocja pomaga sięgnąć gwiazd i zdobyć czytelników

Anna Butkowska

Gdy myślałam o temacie niniejszego numeru czasopisma „Daję Słowo”, samo nasunęło mi się stwierdzenie, że promocja pomaga w podróży do gwiazd. Dzięki dobrze poprowadzonym działaniom marketingowym książka ma bowiem większe szanse na zostanie zauważoną i przeczytaną – a autorom chodzi właśnie o to, by czytelnicy sięgali po ich publikacje.

Pisząc pracę licencjacką na temat form promocji książek wydawanych w modelu self-publishingowym w latach 2020-2023, przyjrzałam się przede wszystkim sposobom, w jakie autorzy niezależni promowali swoje publikacje.

W tym artykule chciałam w przystępnej formie przybliżyć materiał zebrany w mojej pracy licencjackiej. Teorię opatrzyłam komentarzem z własnych obserwacji oraz rozmów przeprowadzonych z polskimi samowydawcami. Autorami, o których pisałam w pracy, są: Bartosz Brzeziński, Wojciech Kaczmar, Mateusz Kasprzyk, Monika Litwinow oraz Mateusz Sala. Rozmowy przeprowadziłam

także z Mateuszem Rogalskim odpowiedzialnym za stronę Samowydawcy.pl oraz Moniką Czyżewską z Bucketbook.pl.

\*\*\*

Zaczynając od początku – termin „promocja” pochodzi z języka łacińskiego i oznacza *szerzenie, popieranie, pokazywanie się z jak najlepszej strony*. W literaturze fachowej i naukowej można znaleźć wiele pogłębionych definicji tego pojęcia. Sprowadzają się one do określenia działań, które mają wpłynąć na zwiększenie sprzedaży towarów i usług. Promocja jest marketingowym oddziaływaniem na klientów (potencjalnych nabywców). Ma na celu przekazanie informacji zwiększających wiedzę na temat towaru lub samej firmy<sup>[1]</sup>.

W kontekście książki najprościej ujęła to Krystyna Bezubik, pisząc: „Promocja to informowanie o tym, że Twoja książka istnieje. To pisanie o tym, dla kogo jest, o czym jest i że można po nią sięgnąć”<sup>[2]</sup>.

W jednym z artykułów dotyczących promocji książki zostały omówione

1 Studzińska-Ferdynus E., Promocja w wydawnictwie 2.0, Biuletyn EBIB nr 6 (133), 2012, s. 1.

2 Bezubik K., Jak wydać i skutecznie wypromować książkę?, 2019, s. 179.

takie formy promocji jak: telemarketing, reklama internetowa, reklama prasowa, reklama telewizyjna, ulotki, egzemplarze gratisowe, prezentacje w instytucjach, spotkania z autorami, patronaty medialne, czytanie fragmentów, gadzety książkowe, rankingi, opaski reklamowe na książkach, blurby, nagrody i skandale<sup>[3]</sup>.

Każda z wyżej wymienionych form jest stosowana w różnych przypadkach i winna uwzględniać możliwości, potrzeby, czas i przede wszystkim

potencjalną grupę odbiorców. Jak pisała Krystyna Bezubik: „Każda książka (nieważne czy poradnik, czy powieść) jest przeznaczona dla konkretnej grupy docelowej. Jeśli wiem, kim są moi czytelnicy, łatwiej będzie mi do nich dotrzeć”<sup>[4]</sup>. Znając potencjalnych odbiorców, łatwiej wybrać odpowiednie sposoby i narzędzia promocji.

Jak wspomniałam, jednym z czynników determinującym wybór formy promocji jest czas. Promowanie książki

3 Wojciechowska M., Współczesne formy reklamy książki, Zarządzanie Biblioteką nr 1, 2009, s.101-107.

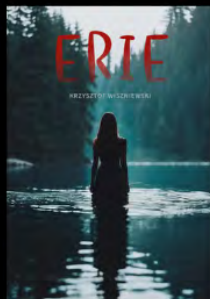
4 Bezubik K., Jak wydać i skutecznie wypromować książkę?, 2019, s. 179.

# REDAKCJA KOREKTA SKŁAD

Małgorzata Araźny

araznykorekta@gmail.com

Araźny  
K O R E K T A



Araźny  
K O R E K T A

może odbywać się bowiem na różnych etapach procesu wydawniczego. Wyodróżniamy trzy podstawowe momenty promowania danego tytułu: przed premierą, w trakcie procesu wydawniczego oraz gdy publikacja jest już w sprzedaży. By promocja była skuteczna, warto się zastanowić, podczas którego z wymienionych okresów najlepiej ją rozpocząć lub nasilić.

Pisząc pracę licencjacką, zaznałomiłam się nieco bliżej także z tym, jak w Polsce wygląda rynek książki self-publishingowej. W dużej mierze opiera się on na internecie – tam prowadzona jest zarówno promocja, jak i sprzedaż. W związku z tym również działania marketingowe samowydawców odbywają się w przestrzeni cyfrowej.

Podsumowując rozmowy, które przeprowadziłam z autorami niezależnymi, udało mi się ustalić, że wszyscy oni w głównej mierze korzystali właśnie z promocji opartej na działalności w internecie. Wybór padał przede wszystkim na prowadzenie profili w mediach społecznościowych i był determinowany niskim kosztem oraz możliwością wykonania tego samodzielnie. Dzięki zaistnieniu w internecie autorzy nawiązywali kontakty i zawierali współpracy mające na celu promocję ich książki. Inne z wybieranych form promocji, takie jak wyjazd na wydarzenia kulturalne (targi książki, festiwale tematyczne) czy udział w spotkaniach

autorskich, wymagały większego nakładu czasowego i/lub finansowego.

W tym aspekcie zauważyć można największe różnice między self-publisherami a autorami wydającymi książki w tradycyjnych oficynach wydawniczych, bo to ich pracownicy często organizują promocję w internecie oraz poza nim. Mają na to większe środki niż autor niezależny oraz znajomości, które ułatwiają, chociażby organizację spotkania autorskiego.

\*\*\*

Jeśli ktoś byłby zainteresowany poszerzeniem tego tematu, chętnie udzielił dodatkowych informacji i udostępni bibliografię, którą wykorzystałam podczas pisania pracy licencjackiej.



**Anna Butkowska** – studentka i bibliotekarka na pół etatu. Na Instagramie prowadzi profil *Snow\_lily\_books*, na którym zajmuje się głównie książkami z gatunków fantasy oraz Young Adult. Dumna patronka *Skoku do gwiazd*.



# Słowo dali

## REDAKTOR NACZELNY

**Mateusz R.M. Rogalski** – autor powieści fantasy *Obroncy Ahury* i bajki *Zamki i Roboty*. Prezes Polskiego Stowarzyszenia Autorów Niezależnych „Samowydawcy”, redaktor antologii *Własna ścieżka* i *Ślady na śniegu* i *Opowiesci przy ognisku*..

## ZASTĘPCZYNI REDAKTORA NACZELNEGO

**Monika Litwinow** – kynoterapeutka, bajkoterapeutka, instruktorka jogi dla dzieci, autorka powieści kryminalnych *Za lasami* i *W gaju*, redaktorka naczelna czasopisma „Zajęcia z Psem”, właścicielka Centrum Terapii i Edukacji BAJARNIA.

W „Daję Słowo” odpowiada za:

- Słowo osobiste
- Gra Słów

**Klaudia Sypniewska** – projektantka logotypu czasopisma. Mieszka w internecie. Na co dzień tworzy content i działa jako social media manager. Tworzy, kreuje, projektuje. Jej pies Antek ponoć ma z nią za dobrze, ale jak sama mówi, cóż począć, skoro kocha psy.

## ŁAMANIE

**Mateusz Cichosz** – magik od składu książek. Pomaga self-publisherom w przygotowaniu ich książek do druku. Poza składem para się również konwersją do wersji elektronicznej (epub/mobi), dzięki czemu książki śmigają m.in. na Legimi czy Empik GO. Od niedawna oferuje również kompleksową obsługę (od redakcji aż po druk) jako *Studio Ale buk!* Znajdziesz go na Instagramie: [@magik.od.skladu.kszetek](https://www.instagram.com/magik.od.skladu.kszetek)

**D.B. Foryś** – z wykształcenia programista i grafik, redaktor po godzinach, pisarz z zamiłowania. Zadebiutowała cyklem powieści *Tessa Brown*.

W „Daję Słówko” odpowiada za:

- projekt okładki.

[www.dbforys.pl](http://www.dbforys.pl)

## REDAKCJA

**Janusz Muzyczyszyn** – poeta, pisarz i redaktor. Pisze od sześciu lat i przez ten czas wydał trzy tomiki wierszy i trzy powieści obyczajowe, prowadzi również bloga.

W „Daję Słowo” odpowiada za:

- Słownik Autorów
- Słowa dobrane

## KOREKTA I REDAKCJA POD NADZOREM JANUSZA MUZYCZYSZYNA

**Jagoda Biskont** – absolwentka Akademii korekty tekstu. Z wykształcenia archeolog. Wykonuje redakcję i korektę tekstów przeznaczonych do publikacji.

[www.kropkajagodabiszkont.pl](http://www.kropkajagodabiszkont.pl)

**Alicja Szalska-Radomska** – redaktorka, korektorka i recenzentka. Uzależniona od literatury, filmu i gier. Zacztyuje się w bajkach, komediach i fantastyce.

[alicja@pracowniamuz.pl](mailto:alicja@pracowniamuz.pl)

**Ewa Hoffmann-Skibińska** – redakcja, korekta, copywriting

[ewa-skibinska@wp.pl](mailto:ewa-skibinska@wp.pl)

**Natalia Dzik** – Nie wyobrażam sobie dnia bez dobrej książki. Uwielbiam czytać kryminały, ale nie pogardzę również dobrym romanssem. W wolnym czasie zaplatam sznurki w makramy.

**Andżelika Gręda** – redakcja, korekta i dodatkowo technik optyk – rozgrzę każdego bohatera okularnika.

[andzelika.greda@gmail.com](mailto:andzelika.greda@gmail.com)

**Dołącz do Patronów**



PATRONITE